Rok 3. Kraków, dnia 20 Października 1884 r. Nr. 19 i 20

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PERŁY HUMORU POLSKIEGO

wychodzą zeszytami i obejmują to wszystko, co literatura nasza wydała wybitnego na polu humorystyki. Zacząwszy od Reja a skończywszy na ostatnich humorystach naszych — każdy znajdzie miejsce w **Perłach humoru**. Procz tego uzupełniamy ten zbiór anegdotami, wierszami i innemi humorystycznemi drobiazgami, jakie niedrukowane dotąd znajdują się po rękopismach. Podajemy tylko sam wybór, tylko prawdziwe **perły humoru**, aby treść odpowiadała w zupełności tytułowi. Wchodzą do zbioru i przysłowia i dowcipne aforyzmy, wejdą i utwory ludowe, których świeży, naturalny dowcip niejednokrotnie wiele ma wartości i głębokiej myśli. Słowem **Perły humoru** będą rzeczywistą skarbnicą narodowego dowcipu.

Perły humoru wychodzą nakładem K. Bartoszewicza w 2ch wielkich tomach. Dla ułatwienia w nabywaniu każdy tom podzielony został na 6 zeszytów. Cena każdego zeszytu w wielkiej 8ce obejmującego 3 — 4 arkuszy druku wynosi **30** ct., z przesyłką pocztową **35** ct. **Składający z góry prenumeratę za całość 12 zeszytów płacą tylko 3 złr.** z przesyłką pocztową zaś **3** zlr. **50** ct.

Siedem zeszytów **Pereł humoru** już się ukazało. Dalsze zeszyty wychodzić będą w odstępach dwu-tygodniowych.

Prenumeratę na **Perły humoru** przyjmuje się tylko do 1 Grudnia 1884.

KATALOG
WAŻNIEJSZYCH PISM POLSKICH
na które prenumeratę przyjmuje księgarnia
K. Bartoszewicza.

Tytuł pisma	Prenumerata w Krakowie						z przesyłką w całem państwie austryackiem					
	kwartalnie		półrocznie		rocznie		kwartalnie		półrocznie		rocznie	
	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.
Ateneum	—		10		20	—	—	—	10	60	21	20
Biblioteka najc. utworów	2	—	4	—	8	—	2	15	4	30	8	60
„ warszawska		—	7	50	15	—	—	—	8	10	16	20
Biesiada literacka	2	—	4	—	8	—	2	30	4	60	9	20
„ „ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	3	—	6	—	12	—
Bluszcz	2	75	5	50	11	—	3	50	7	—	14	—
„ z dod. mód kolor.	4	75	9	50	19	—	5	40	10	80	21	60
Echo muzyczne	2	50	5		10	—	3	15	6	30	12	60
Gazeta lekarska	—	—	4	15	8	30	—	—	4	75	9	50
„ rolnicza	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Gospodyni wiejska	2	50	5		10	—	2	80	5	60	11	20
Kłosy	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ z Bibl. najc. utworów	5	30	10	60	21	20	6	30	12	60	25	30
Kolce	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Kronika rodzinna	1	65	3	30	6	60	—	—	4	—	8	—
Medycyna		—	4	15	8	30	—	—	4	75	9	50
Mucha	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
Niwa	3	—	6		12	—	3	30	6	60	13	20
Ogrodnik		—	5	—	10	—	—	—	5	70	11	40
Przegląd katolicki	2	10	4	20	8	40	2	40	4	80	9	60
„ lekarski	2		4	—	8	—	2	20	4	40	8	80
„ lwowski	2	60	5	—	10	—	—	—	—	—	—	—
„ polski	4	—	8	—	16	—	—	—	—	—	—	—
„ techniczny	—		6	65	13	30	—	—	7	—	14	—
Przewodnik bibliograficzny	—	28	—	50	1	—	—	34	—	62	1	24
„ nauk i literacki	1	25	2	50	5	—	—	—	—	—	—	—
Przyjaciel dzieci	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
Przyroda i przemysł	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Tygodnik illustrowany	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ powszechny	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ rolniczy	2	—	4		8	—	2	75	5	50	11	—
„ romansów i powieści	1	40	2	80	5	60	1	60	3	20	6	40
„ „ z Bil. naj. utw.	3	40	6	80	15	60	4	—	8	—	16	—
Wędrowiec	2	—	4	—	8	—	2	25	4	50	9	—
„ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	2	90	5	80	11	60
Wieczory rodzinne	1	65	3	30	6	60	1	90	3	80	7	60

Księgarnia przyjmuje prenumeratę i na wszystkie inne czasopisma polskie i obce, z wyjątkiem pism codziennych.

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. BARTOSZEWICZA

wyszło **pierwsze tanie wydanie**

DZIEŁ JULJUSZA SŁOWACKIEGO

w pięciu tomach z portretem.

Wydanie to zawiera toż samo co wydania lipskie i lwowskie, oraz odnaleziony urywek poematu Juljusza: Pan Tadeusz.

Pod względem poprawności korekty wydanie to przewyższa wszystkie dawniejsze. Papier biały, druk czysty i wyraźny.

Cena 5ciu tomów 4 złr.

W ozdobnej oprawie w płótno angielskie z wyciskami cena 6 złr.

Od d. 1 Lipca 1878 r. wychodzi w Krakowie pod redakcyą Dra Władysława Wisłockiego, kustosza biblioteki Jagielońskiej

„PRZEWODNIK BIBLIOGRAFICZNY"

miesięcznik dla wydawców, księgarzy, antykwarzy, jakoteż czytających i kupujących książki. Każdy Numer w objętości $^1/_2$ — $1^1/_2$ arkusza druku w zwykłej 8ce, 49 wierszy (61 petytowych) wysokiej, zawiera trzy działy: 1. Bibliografię właściwą bieżącą; 2. Kronikę; 3. Ogłoszenia czyli inseraty księgarskie, drukarskie i t. p.

WARUNKI PRENUMERATY:

całorocznie	1 złr.,	z przesyłką	1 złr.	24 ct.
$^1/_2$ „	50 cnt.,	„	—	62 „
$^1/_4$ „	28 „	„	—	34 „
$^1/_{12}$ „	10 „	„	—	12 „

Opłata od ogłoszeń za każdą $^1/_{10}$ część strony 50 cent., za całą stronnicę czyli 61 wierszy petytowych 5 złr.

Prenumeratę w gotówce i wyraźnie pisane ogłoszenia przesyłać należy za pośrednictwem księgarń krajowych i zagranicznych najdalej do 20 każdego miesiąca, albo do księgarni **G. Gebethnera i Spółki** w Krakowie, albo wprost do redaktora „Przewodnika bibliograficznego".

Księgarnia K. Bartoszewicza nabywa I-szy i 3-ci Nr. „Przeglądu" z r. 1882 po 30 ct. za egzemplarz.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca Jan Blaschke.
W drukarni A. Koziańskiego.

Rok III. Kraków, dnia 20 Października 1884 r. Nr. 19. i 20.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr.. kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny redaktor **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
ul. Sławkowska, hotel Saski.

Cena pojedynczego numeru 30 cnt.
Rekopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

DWA CMENTARZE.

Nadeszły smutne dni listopada.

Dzień Wszystkich Świętych był pogodny, wesoły, ciepły; słońce lśniło jaskrawiej na nieba lazurze i oświecało poważne twarze pobożnych ludzi, spieszących do kościoła na modlitwę. Czyżby to był zbłąkany dzień lata w porze, gdy przyroda obnaża się coraz bardziej i płacze zeschłymi liściami drzew, gdy niebo rzadko odsłoni swoje jasne oblicze i pokaże ludziom błyszczące słoneczko, jakby mówiło: Nie traćcie nadziei!

I tym razem zdawało się niebo tak przemawiać do ludzi, pocieszać ich w smutku i rozłące z matką przyrodą i robić im nadzieję lepszej przyszłości. A było to w naszym kraju, gdzie potrzeba więcej niż gdzieindziej, pociechy, gdzie każdoroczna rozłąka z wdzięczną i miłą przyrodą budzi w naszej duszy bardzo przykre i bolesne wspomnienia. ....

Słońce świeciło jaskrawo a ciepłe jego promienie padały na ściany kościołów, na wrota i krzyże, jakby wskazywały miejsce gdzie mają śpieszyć ludzie smutni i nieszczęśliwi. Więc szli tam gromadnie nabrać otuchy do dalszej walki z losem a każdy pragnął pomodlić się do swego patrona, bo to dzień Wszystkich Świętych.

Jakże odmienny był dzień następny!

Niebo i przyroda nie uśmiechnęły mu się, poszarzały, zesmutniały, powietrze wypełniła mgła gęsta, zimna, ciekąca. Na dziesięć kroków nie ujrzysz człowieka a z kim się spotkasz, ten skurczony, zatulony, zziębnięty. Tu i ówdzie ujrzysz niosących wieńce zielone, kwiaty, lampki... Tam oto idzie pochylona staruszka, z bladą twarzą, wpadłymi oczyma, smutna oburącz trzyma wieniec, na który czasem łza upadnie, stoczywszy się po zwiędłych policzkach. Uboga, czarna na niej szata, ubogi jej wieniec — może za ostatni grosz kupiony...

Opodal idzie para dziewcząt w żałobie, a każda niesie wieniec mały, przeplatany różami i innem kwieciem. Za nimi biegnie małe dziewczę, w siedmiu może latach, również żałobą okryte, trzymając trzy lampki w ręku, i woła: „Olga, poczekaj, poczekaj! ja także na grób taty idę, ja mu także swą lampkę zapalę, bo ja go bardzo kocham...“ Stanęły więc obie, a gdy dobiegła, poszły razem.

Przejechała kareta, w niej siedziała jakaś bogata matrona z młodą panienką, znać córką — miały wieńce kosztowne przed sobą...

Pospieszyła w tęż stronę i jakaś biedna dziewczyna, może służąca, zapłakane mając oczy...

I stary człowiek, niby emeryt, stukając zwolna laską tam idzie...

Gdzie ci ludzie idą?... Czemu oni smutni?.. Czemu wieńce niosą?.. Pospieszmy za nimi.

Jesteśmy na cmentarzu. Przez mgłę przeświecają na bliskich mogiłach światełka, ludzie jak cienie chodzą między grobami, zawieszają wieńce, palą światła, klęczą, modlą się, płaczą... Widziałem dużo świateł, dużo wieńców, dużo ludzi, lecz nie nad wszystkimi unosił się duch tęsknoty...

Były jednak groby ocienione prawdziwym smutkiem, skropione niejedną łzą serdeczną...

Widziałem ową dobrą dziecinę, która w drodze siostry swoje prosiła, by na nią zaczekały: dobiegła mogiły ojca, z wieńcem w drobnych rączkach klękła i całowała zimną, zroszoną ziemię, co przykrywała drogiego jej ojca. Po obu stronach klęczały jej starsze siostry, a były w skromnych sukienkach, każących się domyślać, że te dziatki z ubogiego pochodzą stanu. Może dlatego tak gorąco się modliły, wznosząc rączki ku niebu, że były biedne?....

Nie.

O kilka kroków dalej widziałem grobowiec wspaniały ubrany kosztownie w różnokolorowe lampki, ozdobiony mchem i kwiatami, zarzucony wieńcami, przed którym klęczała pani, co przyjechała karetą i z lokajami na cmentarz. Modliła się serdecznie. Blade światełko lampy wiszącej na facyacie grobowca, przepuszczone przez fiołkową szybkę, padało na jej twarz i czyniło ją tak smutną, jak te krzewy na cmentarzu, odarte z liści zielonych. Płakała... a w łzach jej ócz to samo blade łamało się światełko.

Widziałem, że złotych nici pamięci i miłości, wiążących żywych braci z umarłymi, nie zerwali jeszcze ludzie...

Szedłem przez cmentarz i patrzyłem na groby, a wszystkie były ozdobione i umajone, prócz kilku może, które żaliły się smętnie, ze niema o nich pamiętać komu. Widziałem na nich drobne lśniące perełki—były to łzy mgły jesiennej, która snać zmiłowała się nad osamotnionymi i popłakała nad ich niedolą...

Smutno tu... smutno...

Opuściwszy to miejejsce udałem się drogą, prowadzącą do naszych siół uroczych, aby zajść na jaki cmentarz wiejski i zobaczyć, jak tam w dzień zaduszny bywa..

O zmierzchu błądziłem między niskimi mogiłami, i ani jedno światełko nie rozświecało mi drogi. Żywej duszy nie było na cmentarzu, mgła tylko płakała nad tem cichem mieszkaniem umarłych a wiatr smutniejsze niż zwykle śpiewał piosnki. Daremnie budził mogiły ze snu, daremnie wzruszał gibkimi brzozami i głogami ocieniającymi ich głowy—daremnie?... Może mogiły puste—a duchy gdzieś uciekły na niebo skarżyć się Bogu, że bracia nie

dobrzy nie przyszli płakać na ich kurhany?... I dlatego Bóg mgłę posłał, aby za nich na grobach płakała?..

Niedobrzy bracia, niedobrzy! Nawet liści suchych nie zmietli z grobów i dlatego wiatr gniewny rzuca je z świstem w rowy i ścieżki, by nie wstrzymywały wolnego mogił oddechu. Oj! źli bracia, kiedy nawet pozwolą kości święconej bez opieki w bruździe cmentarnej leżeć na to, by ją każdy nieuważny przydeptał nogą— i dlatego wiatr ją troskliwie grzebie liśćmi przykrywając suchymi.

Zmiatając liście i grzebiąc kości, śpiewał wiatr smutne piosnki o żywych małego ducha i o umarłych smutnych, i pocieszał mogiły, że może kiedyś lepiej będzie.

Ucichł wiatr — a na cmentarzu stało się jeszcze smutniej.

Wtem jakieś rzewne westchnienie doleciało moich uszu. Zwróciłem się w stronę, zkąd zdawało mi się pochodzić—i ujrzałem na mogile leżącą postać niewieścią. Twarz i ręce, złożone jak w modlitwie, przytuliła do zimnej mogiły. Spała. Szelest suchych liści, które potrąciłem nogą, zbudził ją ze snu. Podniosła głowę i patrzyła na mnie przez chwilę.

Sierota — śniła właśnie o matce swojej, do której miłość i tęsknota zaprowadziły ją tutaj. Mówiła mi, że jej bardzo ciężko na świecie, bo matula już w grobie, a macocha straszna dla obcego dziecka...

A macocha kole,
jak kolący oset.
Ja kolący oset
z daleka ominę,
na macochę płaczę
w każdziutkę godzinę [1]).

„Matusia mnie nie odepchnęli, nie rzucili na mnie dzbanem łez pełnym, chociaż ja ich bardzo dużo wylałam, a moje łzy gorzkie. Ona dobra matusia, ona mnie przytuliła do swego serduszka i rzekła: Nie płacz!.. A gdzie ona poszła?..“

Klękła przy mogile, jakby się bala ból jej zadać lub prochy matuli obrazić, i szeptała różaniec...

A więc i między sennymi po siołach ludźmi są dusze, co pamiętają o mogiłach i mówią im: Drogie wy moje!..

Biedna sierota! ona przeczuwała, że matka dobra nie rzuci na nią dzbanem pełnym łez sierocych.

A wtedy, gdy znów wiatr na chwilę się uciszył, ujrzałem smutek i tęsknotę, jak parę wiernych sobie małżonków, unoszących się nad niskimi mogiłami...

Karol z Myślenic.

U WRÓT SZCZĘŚCIA.

Dramat w I-ym akcie, wierszem,

napisany oryginalnie przez *Jul. Ad. Święcickiego.*

Dokończenie.

SCENA IV.

Ciż i KRYSIA.

KRYSIA (*wchodząc*).

Pan Alfred!.. (*wybiega*).

HELENA (*wyrwawszy się z objęć Wacława jakby pod działaniem iskry elektrycznej, zdradza w całej tej scenie gorączkę próżnej kobiety*).

Słyszysz, drogi?.. A to gość z Alfreda!..
Poczciwiec!.. (*staje przed lustrem poprawiając toaletę*).
Twarz goreje (*do Wacława*). Powitać się godzi!..
Spocznij chwilkę!.. (*patrząc w lustro*) znów blednę... tak wcześnie [przychodzi!..
Strój w nieładzie!.. Sukienka fatalnie uszyta!..
(*do Wacława*). Za chwilkę błyskawiczną!.. (*wybiega gorączkowo*).

SCENA V

WACŁAW (*sam*).

(W czasie ostatniej sceny podobny do posągu, patrzy martwemi oczyma na gorączkę Heleny, a po jej wyjściu mówi w najwyższem uniesieniu).

Oto jest kobieta!..
Stworzenie, co spotężnieć ma w ideał żony!..
Potwór zmysłów i szatan bez wstydu wcielony!..
Obraz przyszłej Kornelji... typ matek jedyny,
Co ma godnie dla kraju wychować swe syny!..
W tej lwicy, w tym bezdusznym zlepku krwi i ciała
Nigdy jeszcze iskierka myśli nie zadrgała...
Z serdecznego uścisku — jedno marne słowo
W szał próżności tę lalkę wytrąca zmysłową!..
(*po chw.*) Dość iluzyj!.. czas zniweczyć zaślepienia hydrę:
Tę miłość, choćby z życiem, z serca swego wydrę.
I co jeszcze ze strzępów skrwawionych zostało,
Rzucę z jadem przekleństwa w jej duszę skarlałą!..
(*po chwili wewnętrznej walki — mówi ze spokojną boleścią*).
Szczęśliwi, co świetlanych iluzyj się strzegą!..
Krom uczucia, jam od niej nie pragnął niczego,
I szalony, tom tylko śnił przez długie lata,
Że znajdę takie serce, co z mojem się zbrata!..
(*zakrywa twarz rękami i łkając prawie*).
U wrót szczęścia i z myślą od nędzy daleką,
Straszliwe ponad sobą ujrzeć trumny wieko
I okiem, co krwią bólu wściekłego zapłynie
Przypatrywać się szczęścia własnego ruinie.
Ha!.. to męki!.. (*padając na krzesło*). Jam ją tak ukochał szalony

SCENA VI.

WACŁAW i HELENA.

HELENA (*wbiegając*).

Pan Alfred salonowej wart szczerze korony!..
Jak to mogą człowieka zmienić dwa tygodnie!..

WACŁAW (*usiłując panować nad sobą*).

Dosyć chwili, by cnota zmieniła się w zbrodnię,
Wystarczy błyskawiczne krwi czystej skażenie,
By się piękny twór ciała rozłożył w gangrenie;
Niechaj jedna myśl duszę usidli skalana,
Już się anioł w brudnego przedzierzgnął szatana!

HELENA.

Wacławie, tyś zmieniony... co znaczą te słowa?..

WACŁAW.

Cóż tak razi cię nuta słów moich godowa!..
Bolejesz, że się niebem pierś moja weseli,
Że duch mój w krwawej życia poświęcon kąpieli
Snopem iskier wystrzela i na licu bladem
Z darów mi serca twego piętnuje dyjadem!..
Jam przecie u *wrót szczęścia*!....

SCENA VII.

Ciż i KRYSIA.

KRYSIA (*wbiegając*).

Pan Zdzisław!..

---

[1]) Z pieśni gminnej.

HELENA *(zapominając o wszystkiem).*

Szalona!..

Ty chyba żarty stroisz?..

KRYSIA.

Panna się przekona.!

HELENA *(gorączkowo biegnąc do lustra),*

Czyżby się umówili?.. A to istne dziwy!..
(przyglądając się sukni). Marszczy się niepotrzebnie... co za krój [wadliwy!..
(podbiegając do Wacława i biorąc go za rękę)
Pójdź Wacławie?.. zwiększywszy biesiadników grono.
(z kokieterją). Nie można tak sam na sam siedzieć z narzeczoną!..
Tak, miły, trzeba względy zachować światowe,
Służę panu *(podaje mu rękę). (Wacław, który w całej tej scenie zdradza bierność automatu, podaje ramię machinalnie i wychodzi z Heleną)*

KRYSIA *(sama).*

Pod topór oddałabym głowę,
Że się te zaręczyny nie przydadzą na nic.
Panienka za chłopcami szaleje bez granic.
Kocha pana Wacława... lecz mimo kochanie
Przysięgnę, że na jednym chłopcu nie przestanie.
Miździy się do Zdzisława... wdzięczy do Artura,
Wszystkich łowi... mamusi nieodrodna córa,
Co jeszcze się kryguje, choć postać ma sowy.
(sentencyonalnie) Taki to już widocznie charakter sercowy!..
(filuternie) I ja bo też naturę panienki posiadam:
Z tamtym się pochichoczę... do tego zagadam...
Tego trzymam zdaleka, a tamtego zbliska,
Jednego ja uścisnę... drugi mnie wyściska.
Ale tylko Leona kocham urzędowo!..

SCENA VIII.

KRYSIA i ARTUR.

ARTUR *(30 kilkoletni kawaler, ubrany podług najświeższej mody)*
Witaj, gąsko, co słychać?..

KRYSIA *(niedbale).*

Ot, ni to ni owo!..

Jak zwyczajnie!..

ARTUR.

Zaczynasz bredzić, ty przekoro!..

KRYSIA *(obrażona).*

Mój panie!..

ARTUR.

Ani mru mru!.. *(po chwili)* Teraz mów!.. z pokorą.
(po chwili wzajemnego milczenia) No cóż?.. prędko w ruch puścisz [wiatrak językowy?..
(patetycznie) Tyś bez serca, dziewczyno!..

KRYSIA.

Ale pan bez głowy!..

ARTUR *(całując ją).*

Lubię cię za ten dowcip, gadatliwa wrono,
(z powagą) Masz u mnie... rubelijona!.. Słyszysz?.. tak sądzono!..

KRYSIA.

Ważność pańskich obietnic tak dobrze mi znana,
Tyle już rubelijonów posiadam u pana,
Że tego bardzo chętnie odstąpię... za złoty!.,

ARTUR *(pompatycznie).*

Przywykłem tylko znaczne asygnować kwoty,
Czy rozumiesz, dzielatko?.. No mów — a nie wiele!..
Co słychać?..

KRYSIA.

Prócz wesela — nic!..

ARTUR *(zdziwiony).*

Jakie wesele?..

KRYSIA.

Toć pan Wacław z panienką odbył zaręczyny.

ARTUR *(d. s.).*

I nic mi nie mówiła?!.. *(zacierając ręce)* Interes jedyny...
(całując Krysię) Powiedz pani, że czekam!..

KRYSIA *(chwytając się za policzek).*

Oj! znak będę miała!.. *(wybiega)*

SCENA IX.

ARTUR *(sam).*

A to mi się znów gratka przytrafi wspaniała!..
Helena, to piekielnie zalotna kobieta
Jam już jej komplementów naprawił do syta,
Przeciągłe uściśnienia..... oczne telegramy
Wszystko było!.. dziś wielką rolę odegramy!..
Że Wacław stracił rozum — a cóż mi to szkodzi!..
Pokochał!.. To scyzoryk! Zwarjowali młodzi!..
Stary wróbel się nie da złapać na kochanie
Jemu się tytuł męża — mnie serce dostanie.
Stanąwszy dziś u wątłej fortecy wyłomu
Nie mężem, lecz zostanę... przyjacielem domu!..

SCENA X.

ARTUR i HELENA.

HELENA *(wbiegając żywo).*

Spóźnia się pan — a słowność jest wielką zaletą.

ARTUR *(podając jej rękę).*

Gość mię w domu zatrzymał... O! bo gdyby nie to,
Byłbym nawet uprzedził godzinę wskazaną —
Więc proszę mię surową nie karać naganą,
Że panią później widzę — to już straszna kara!..

HELENA.

Niechaj pan czas stracony odzyskać się stara,
Bo nie wcześniej nastąpi przebaczenie winy.

ARTUR.

Będzie to serca mego odtąd cel jedyny.
Racz pani zająć miejsce.

HELENA *(siadając).*

Trzeba spieszyć z pracą.

U nas goście!..

ARTUR *(biorąc się do roboty).*

Żal mi ich!..

HELENA.

O! nie wiele tracą!..

Ale kodeks grzeczności!..

ARTUR.

Powiedz pani raczéj

Że serce się wyrywa!..

HELENA.

Serce?.. co to znaczy?..

ARTUR.

Że z chwilą, gdy się zbliża praca pożądana
Zabrakło mi odwagi!..

HELENA.

Nie rozumiem pana!..

ARTUR.

Tak mię nicość talentu mojego przeraża,
Że się lękam, jak grzesznik u stopni ołtarza!..

HELENA.

Na szczęście, ja tej trwogi z panem nie podzielę

ARTUR.

Zbyt pani jesteś dobra!..

HELENA.

Pan skromny za wiele!

ARTUR (*rysując, mówi jakby do siebie*).

Zespolić czar anioła z powagą królowej,
Żar oku... ustom płomień nadać purpurowy,
Lilję zbratać z fijołkiem i stokrotkę z różą,
To nad siły!..

HELENA.

Dlaczego pan mówi tak dużo!..

ARTUR.

Już artysta wyroku muzy nie przekroczy (*rysuje w milczeniu*).

HELENA (*po pauzie*).

Co pan robi w tej chwili?..

ARTUR.

Te szatańskie oczy,
Co blaskiem swych promieni śmierć dokoła szerzą

(HELENA *z uśmiechem*).

Bodajto z artystyczną rozmawiać młodzieżą
Na słowach jej nie zbywa!.. (*patrzy nań z kokieterją*).

ARTUR.

Ha! męki Prokrusta!..
Te oczy!..

HELENA.

I znów oczy?.. kiedyż będą usta!..
O! jeżeli się portret robi tak powoli
W takim razie....

ARTUR.

Cóż wtedy?..

HELENA.

Nie wytrwam w swej roli!..

ARTUR.

Cierpliwości!.. przez Boga!.. Albož moja wina,
Że się wszystko przy takich wdziękach zapomina!..
I czarowna pod grotą z nimfami Dyana,
Którą pędzel mistrzowski odtworzył Albana;
I Wenus, której miłość pociskiem zagraża,
Drogocenna perełka Reniego malarza;
I Zuzanna Caroccia z świętością u czoła
I boginie Tycyjana i Leda Anioła
I cudowna skromnością Lukrecya Giordana
Gasną przy tej piękności, co.....

HELENA.

Przepraszam pana
Oczy już są zapewne zrobione oddawna?..

ARTUR.

W tej chwili kończę prawe...

HELENA (*niecierpliwiąc się pozornie*).

To rzecz niezabawna!..

ARTUR.

Męczy panią ten przymus!..

HELENA.

Nie!.. lecz pośpiech radzę!..

ARTUR.

Choćbym wszystkie zjednoczył ducha swego władze
Zawsze grobem sił moich te oczy zostaną!..

HELENA (*udając niezadowolenie*).

Przestańże pan raz śpiewać piosnkę oklepaną!..
Wiecznie ma komplementów rozbrzmiewać kaskada
Czas już byłoby skończyć!..

ARTUR (*rzucając ołówek*).

Tak! skończyć wypada..
Raz już trzeba odwieczną zakląć w piersiach burzę.
Ja kocham ciebie, pani!..

HELENA (*tając zadowolenie*).

Dość, panie Arturze!..

ARTUR.

O! pozwól sercu zrócić ten ciężar nad siły,
Niechaj słowa twe wskrzeszą co oczy zabiły.
Powiedz, dopóki serce w mękach nie zdrętwieje,
Co mam wynieść z tej walki: czy śmierć czy nadzieję?..

HELENA (*kryjąc oczy chusteczką*).

Czemuż mię los fatalny tak cierpieć zniewala,
Już za późno, mój panie!..

ARTUR.

Posiadam rywala...
To jeszcze o przyszłości mojej nie stanowi.

HELENA.

Rękę swoją przyrzekłam.

ARTUR.

Komu?

HELENA.

Wacławowi!..

ARTUR (*z udaną rozpaczą*).

Więc już dla mnie ostatnia wybiła godzina
Trzeba umrzeć!..

HELENA.

O! niech pan o tem nie wspomina.

ARTUR.

Skorom panią utracił — to cóż mi zostało?..
Życie, chociażby jasną uwieńczone chwałą,
Jest mi teraz tak wstrętne, że dziś jak zbawienia
Pragnę śmierci, by straszne skończyć udręczenia!..

HELENA (*widząc, że Artur odchodzi*).

Odchodzisz pan?..

ARTUR.

Na wieki żegnam cię o pani!..

HELENA (*chwytając go za rękę*).

Jeszcze chwilę... czekaj pan... twój głos mię tak rani,
Że wiecznie tętna jego słyszeć będę echo.
Że (*prowadzi go ku kozetce i sama siada*) Siądź pan... może natchnę twe serce pociechą.
(*gdy Artur usiadł koło niej*) Może przecież.,. O Boże! tak mi serce bije
Tyle wzruszeń!.. ja tego chyba nie przeżyję.
(*patrząc mu w oczy*) Czemuż los drogi nasze okrutnie rozdziela
Pragnę wiecznie zachować w panu przyjaciela,
Skoro Bóg mi innego przeznaczył na męża!..

(*wchodzi Wacław niepostrzeżony*) ARTUR (*biorąc jej rękę*).

O! głos ten rozpacz moją łagodzi... zwycięża!..
Nieskończoną podziękę składam chociaż za to!..
Łatwiej mi z ręki twojej pogodzić się stratą,
Gdym zdobył twe współczucie!.. (*mówiąc dwa ostatnie wiersze, obejmuje zwolna jej kibić — Helena nieznacznie pochyla się i wreszcie opiera głowę na jego ramieniu. Artur wymawiając ostatnie słowa całuje ją w czoło.*

SCENA XI.

Ciż i WACŁAW.

HELENA (*usłyszawszy kroki odwraca się, a spostrzegłszy Wacława stojącego martwo, z założonemi na piersiach rękami*).

Ach!..

ARTUR (*odchodząc na bok*).

Scena niemiła!

WACŁAW (*mówi wolno i dobitnie*).

Czemuż para gołąbków tak się rozstrzeliła!..
Niechaj głos mój zapału serc waszych nie studzi:
Kto ma hańbę dla siebie — ma bezwstyd dla ludzi!..
(*zwracając się ku Helenie i wziąwszy ją konwulsyjnie za rękę*)
Póki dusza twa w żądzy szatańskiej spowita,
Możesz pani (*wskazując Artura*) tę lalkę całować... do syta!..
(*zwracając się ku Arturowi*) Póki zmysłów gorączki twej wstręt [nie ogarnie,
Możesz, panie (*pokazując Helenę*) to ciało całować bezkarnie!..

HELENA.

Boże mój, to nad siły!..

ARTUR.

Obrażasz mię panie!

WACŁAW.

Milcz nędzniku! (*po pauzie*) Twej żądzy zadosyć się stanie!!!
Zaślubisz to, coś zdobył!..

ARTUR (*zimno*).

O tem niema mowy.
Ja żenić się nie myślę!

WACŁAW (*w uniesieniu*).

Łotrze salonowy!..
Więc progi tego domu przestąpiłeś po to,
By hańbą ich mieszkańców okryć i sromotą!..
(*spokojnie*) Wyznaję, że przeczucia mię dawne zawiodły
Jam sądził, żeś bezmózgi tylko... a tyś podły!..
Precz ztąd!.. później się nasza zakończy rozmowa!..

ARTUR (*patrząc na zegarek*).

Czas wielki (*bierze kapelusz*).

WACŁAW (*z naciskiem*).

Do widzenia!..

ARTUR (*wychodząc*).

Żegnam!..

SCENA XII. i ostatnia.

HELENA i WACŁAW.

WACŁAW (*patrząc chwilę na płaczącą Helenę*).

Oto nowa
Heloiza, przygnieciona tęsknoty żałobą!..
Słyszałaś — nawet nędznik ten pogardził tobą!..

HELENA.

Ależ ja go nie kocham — wierz mi, ubóstwiany!..

WACŁAW.

Bardzo wierzę! W twej duszy próżnością skalanej
Na miłość — niema miejsca!.. Tyś kochać nie w stanie!..
Ten kto wcielił się w zmysły, nie wie, co kochanie!..

HELENA (*błagalnie*).

Niech w morzu niepamięci te chwile utoną!..
Ja umrę, jeśli twoją nie zostanę żoną!..

WACŁAW (*ze wstrętem*).

Żoną!.. Śmiesz pani jeszcze wymawiać to słowo?.,
Trzeba czystością duszy jaśnieć brylantową,
Mieć poświęceń i ofiar nimb jasny u czoła,
Bezbrzeżny zdrój miłości czuć w sercu anioła
I święte posłannictwo kobiety — człowieka!..
Lecz istota, co glorji dziewiczej się zrzeka,
Co zmysłów namiętnością nieludzką pijana,
Pod maską cnót ohydę piastuje szatana,
Co z duszą Messaliny i mózgiem demona
Z uścisku leci w uścisk i z ramion w ramiona;
Na majestat dziewiczy i cześć niepamiętna!..
Ta, co nosi bezwstydnych pocałunków piętna
I duszę, występkami żywota zbrudzoną,
Może tylko nędznicą być!... ale nie żoną!.. (*zabiera się do wyjścia*).

HELENA (*zatrzymując go*).

Przez Boga!.. jednę chwilę!.. zostań ukochany
Nie gardź mną... nie przeklinaj... przebacz obłąkanej!..

WACŁAW (*zimno*).

Pozwól jeszcze fałszywą zaspokoić trwogę,
Pogardzać tobą — muszę!.. przeklinać — nie mogę!..
(*z uczuciem*) Dotąd wrzący młodością — dzisiaj strupieszały
W grobie życia najmilsze składam ideały...
Tak mię dłoń twa z najświętszych iluzyj obdarła,
Że już w sobie nie czuję olbrzyma... lecz karła!..
Ale choć napiętnowan nicestwa stygmatem,
Jam odtąd, dzięki tobie, trupem, automatem...
Z rozdartego dziś serca wołam śród rozpaczy,
Jak ja ci przebaczyłem—niech i Bóg przebaczy!.. (*usiłując wyjść*).

HELENA (*chwytając go konwulsyjnie pada na kolana*).

Litości!.. jeszcze chwilę!.. Patrz! w mękach się krwawię.
O Boże!..

WACŁAW (*wyrwawszy się*).

Bądź szczęśliwsza odemnie!.. (*wybiega*).

HELENA (*wyciągając ku niemu ręce*).

Wacławie!....
(*pada bez zmysłów*).

KONIEC.

HENRYK HEINE.

PORTRET LILERACKI

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

Ciąg dalszy.

II.

Pochodzenie Henryka Heine'go

(Główne zatrudnienie żydów po zburzeniu Jerozolimy. — Teologia talmudyczna i handel. — Skutki — materyalizm — kosmopolityzm — bezwyznaniowość. — Wpływ pochodzenia żydowskiego na działalność literacką Heine'go).

Henryk Heine jest synem owego nieszczęsnego plemienia, które zawadza narodom Europy od lat dwu tysięcy. Pochodzenie to wpłynęło oczywiście na jego działalność literacką, zwłaszcza, że urodził się w czasie, w którym się społeczno-polityczna emancypacya Izraela dopiero rozpoczęła.

Dwa głównie rodzaje pracy uprawiali żydzi, po zburzeniu Jerozolimy: teologię rabiniczną i handel. Teologia zaś ich nie przekroczyła ciasnych granic talmudu.

Zdziesiątkowani krwawemi wojnami, uciskani bez miłosierdzia, skazani przez imperatorów Romy na zagładę, mordowani przez chrześcian, muzułmanów i wyznawców Zoroastra, nie zniknęli jednak żydzi z powierzchni ziemi, owszem—przetrwali w tej samej liczbie, w której przestali politycznie istnieć.

Każdy inny naród, pozostający w takich warunkach, wymarłby już dawno, należałby do mamutów historycznych; każdy inny naród nie wytrzymałby połowy prześladowań, jakim żydzi podlegali. Oni zaś oparli się wszelkim burzom i dopłynęli po dwu tysiącach lat do portu swobody, do równouprawnienia naszych czasów.

Sprawiła to książka, raczej zbiór ksiąg, czyli — talmud. On to prowadził żydów, kiedy im zabrakło królów i książąt; on ześrodkował ich siły, ujednostajnił dążenia, dźwigał ich obietnicą powrotu do Jerozolimy, gdy upadli w trudnych czasach na duchu; on był gwiazdą przewodnią, która świeciła przez długie wiek smutnemu, przygnębionemu ludowi, gasnącą dopiero wtedy, gdy zabłysnęło słońce bieżącego stulecia.

Przez tysiąc prawie lat pracowali żydzi nad talmudem. Na wykończenie tej księgi składał się rozum całego legionu mędrców i uczonych izraelskich, począwszy od genialnego prawodawcy, skończywszy na pospolitym amoraimie lub rabinie. Co żydzi w tym czasie myśleli, co czuli, co cierpieli, czego pragnęli i spodziewali się, wszystko to złożyli w swej «Nauce» ku wiecznej pamięci potomnych. Zrazu komentowali pierwsi nauczyciele tylko zakon mojżeszowy; z czasem jednak, gdy nadeszły trudne warunki polityczne, gdy imperatorzy rzymscy przeszli ciężką stopą po narodzie «wybranym», wtedy regulowali tanaimowie stosunek żydów do innwierców, do «gojów,» stając się kapłanami, prawodawcami, słowem, jedynymi przewodnikami Izraela.

Nie trudno domyślić się, że talmud nie oznacza się jednolitością kompozycji i jednostajnością poglądów. Obok wielu przepisów dobrych, głęboko pomyślanych, musi on zawierać mnóstwo dodatków bez wartości, stosownie do tego, czy autorem tej lub owej części był człowiek światły lub ciemny, czy też zdolny, twórczy, albo lichy kompilator i sofista. Drobiazgowe spory o właściwość tej lub owej ceremonji, zapełniające chwastami znaczną część Gemary, często i Miszny, nie pochodzą pewno od tanaimów genialnych. Ostateczni spisywacze różnych części nie odznaczali się wcale zmysłem krytycznym, podciągając każdy, choćby najdziwaczniejszy «traktat» pod wspólny mianownik tradycyi, bez odróżnienia ziarna od plew. Ztąd znajduje się w talmudzie obok myśli rozumnych, obok obrazów wzniosłych i praktycznych przepisów, niesłychanie wiele niepotrzebnego, śmiesznego gadulstwa, przypominającego czczą frazeologią scholastyków średniowiecznych.

A właśnie ta strona ujemna «Nauki» zaprzątała umysł rabinów prawowiernych i zwolenników ich aż do końca XVIII. w., aż do wystąpienia Mojżesza Mendelsohna. Dziś jeszcze pochłania ślęczenie nad drobiazgami «księgi ksiąg» całą pracę umysłową znacznej części «narodu wybranego.»

Zasklepienie się w zaczarowanem kole formalistyki talmudycznej, z której już w wiekach średnich wypełzła kabalistyka, zniszczyło w żydach zdolność do szerszego lotu metafizycznego, do ogarniania stosunków ludzkich ze stanowiska filozoficznego, a rzekome «wybrańswo,» połączone z konieczną nienawiścią rasowo religijną do «ciemięzców,» do «gojów i bałwochwalców,» zatarło w nich wszelkie poczucie sprawiedliwości.

Żydzi gardzili zawsze dorobkiem moralnym i naukowym innowierców, patrząc na każdą rzecz przez zamglone szkła swej ciasnej, samolubnej wyłączności. Dorzucili też zaledwo małą garstkę własnych poglądów do wspaniałej budowy cywilizacji chrześciańskiej. Kilku uczonych z czasów rozkwitu eksilarchatu babilońskiego, kilku połowicznych filozofów i poetów, wykształconych na wzorach greków i maurów, i gromadka «kacerzów» (Uriel da Costa, Benedykt d'Espinosa) których wydała tolerancya wyswobodzonych Niderlandów, oto wszystko, co wyszło z Izraela aż do końca XVIII. w. Gdy porównamy ten nieliczny zastęp z całą armią: uczonych, poetów i artystów plastycznych, choćby jednego narodu chrześciańskiego, zrozumiemy, dlaczego współcześni antisemici odmawiają żydom wyższych zdolności umysłowych.

Jeden tylko przymiot dodatni zrodziło kilkunastowiekowe zagłębianie się w kazuistyce talmudycznej. Gdy ostateczne zamknięcie «Nauki», wstrzymało dalszy lot fantazyi rabinicznej, wtedy ubiegali się «uczeni w piśmie» jedynie o dobre wytłomaczenie tego lub owego miejsca. Wielkim był, kto tę samą rzecz innemi wyłożył zwrotami, nie przekrzywiając jednak jej istoty. Rabin stał się sztukmistrzem słowa, przewyższającym w tym względzie nawet sofistów greckich. Ztąd owa obosieczna dyalektyka, owa «cietość» pióra, i niezwykła zdolność polemiczna, którą podziwiamy u wnuków talmudzistów, panoszących się w prasie niemieckiej; ztąd ów niesłychanie subtelny dowcip, polegający głównie na grze słów, nie będący ani humorem angielsko-niemieckim, ani «esprit» francuzkim, lecz wyłącznie żydowskim wytworem.

Henryk Heine jest nieodrodnym synem swych przodków, z których niejeden przetrawił prawdopodobnie całe życie nad wynalezieniem nowego słówka. I współcześni mu autorowie niemieccy, jak Gutzkow i Laube, byli w pierwszej połowie swej działalności literackiej także polemistami, lecz każdy z nich wyprowadzał w pole ciężkie działa argumentacyi, a Heine umiał swego przeciwnika wyśmiać i zmiażdżyć jednym frazesem, jedną błyskotliwą figurą retoryczną. Nie przekonywał on nigdy, tylko szydził; nie starał się o ciągłość, o wynikliwość dowodzenia, lecz olśnił, oślepił dyalektycznem *bonmot*, nie troszcząc się o dalszy skutek.

Ćwiczeń talmudycznych dziedzic, połączył w sobie «ironję romantyków» i «cietość» rabinów, wytwarzając jakiś nowy rodzaj dowcipu, któregobyśmy daremnie szukali u innych autorów niemieckich. Tylko w błahostkach Saphi'ra widzimy podobną właściwość, lecz i «bawiciel» monachijski był żydem. Współcześni nam dowcipnisie prasy niemieckiej, redaktorowie i współpracownicy różnych «Witzblatt'ów», należą także do «narodu wybranego.»

A kto sobie w Izraelu nie zasługiwał na koronę niebieską ślęczeniem nad talmudem, ten starał się jedynie o dobrobyt materjalny, o majątek.

Rozproszeni po całem imperium rzymskiem, odsunięci od władzy i dostojeństw, pozbawieni samodzielności politycznej, uznali żydzi bardzo rychło wartość pieniędzy. Już krótko po zburzeniu Jerozolimy przez Tytusa, zaczęli się przerzucać do handlu, jako najzyskowniejszego i najłatwiejszego rodzaju pracy ludzkiej. Gromadne jednak kupczenie «narodu wybranego» zaczyna się dopiero po upadku ostatniego zbrojnego powstania, odbytego pod wodzą walecznego Bar Kosiby.

W IV. w. po Chr. przekraczają żydzi Alpy i rozbiegają się po dzierżawach nowych ludów, które zdruzgotały kruchy tron cezarów. Odtąd dzieli się cały naród na dwa główne odłamy: na «uczonych w piśmie» i na kupców. Niebawem staje się izraelita równoznacznikiem handlarza. Chrześcianin nie rozumie, aby żyd mógł być czemś innem.

Z kupiectwa wybierali żydzi zawsze gałąź najdonośniejszą, handlując zrazu niewolnikami, a później pieniędzmi. Potężny niegdyś związek hanzeatycki nie był też dziełem Izraela.

Kilkunastowiekowemu kupczeniu zawdzięcza chararakter żydowski kilka wybitnych rysów, powstałych wskutek nadmiernego wytężenia umysłu w jednym tylko kierunku. Sam Heine opisuje handlarza bardzo dosadnie. «Kupiec wyznaje w całym świecie tę samą wszędzie religię. Kantor jest jego kościołem, biurko jego klęcznikiem, księga obrachunkowa jego biblią, skład towarów jego *sanctissimum*, dzwon giełdy sygnarkiem, wołającym go do modlitwy, złoto jego Bogiem, kredyt jego wiarą.» (*Briefe aus Berlin*). Co znaczy: kupiec jest bezwyznaniowcem, samolubem, kosmopolitą i materjalistą.

Określenie Heine'go nie jest oczywiście regułą bez wyjątku, lecz odnośnie do żydów przeszłości wytrzymuje prawie zawsze krytykę. Modlili się oni wprawdzie ustami do Jehowy, ale myśl ich tańczyła bezustannie naokoło złotego cielca; błagali oni wprawdzie Boga Abrahama i Izaaka o powrót do Jerozolimy, lecz,

wypędzeni z Niemiec, Anglji, lub Francji, nie spieszyli do Palestyny, tylko przyczajali się gdzieś w pobliżu, czekając na przeminięcie burzy; szanowali mądrość talmudu i swych rabinów, ale w rzeczywistości przestali rozumieć istotę «Nauki,» zadawalniając się wykonywaniem przepisów zewnętrznych.

Kupiec żydowski nie był bezwyznaniowcem w ścisłem tego pojęcia znaczeniu; owszem, należał zwykle do wstrętnego gatunku zaciekłych fanatyków religijnych, ale bywał zawsze kosmopolitą i materyalistą. Kosmopolitą musiał być człowiek, nie posiadający ojczyzny, przyzwyczajony do przenoszenia się z miejsca na miejsce, jak dziki zwierz, którego strzelcy ciągle z legowiska płoszą; a materjalistą stał się z czasem handlarz, szanujący tylko pieniądz i wszystko, co z niego wypływa, jak: wygodne życie, roskosze cielesne, przyjemności itd.

Kupcy wyznawają odrębną, własną moralność, na co się i Herbert Spencer zgadza. Gdy rozważymy, że rozluźnienie etyki kupieckiej potęgowali jeszcze rabini, szczujący izraelitów przeciw innowiercom, zrozumiemy, dlaczego się handlarze żydowscy różnili w wielu razach od chrześciańskich. Do ujemnych stron charakteru kupieckiego wogóle dodali oni jeszcze bezwzględność w wyzyskiwaniu słabszych innowierców i ową przebiegłość szachrajską, znaną pod nazwą «sprytu,» a potrzebną do wyprowadzenia w pole czujności znienawidzonych «gojow.»

I odwagą osobistą, czy wojenną, czy cywilną, nie odnaczają się kupcy.

Henryk Heine, choć brzydził się handlem, do którego go rodzina chciała w młodości przymusić, przypominał jednakże od czasu do czasu słowem i czynem swe pochodzenie kupieckie.

Stojąc jako chłopiec (tom I., str. 227, *das Buch le Grand)* przed pomnikiem elektora Jana Wilhelma w Düsseldorfie, myślał zawsze o tem: «ile srebrnych łyżeczek może się znajdować w tym kolosie i ile ciasteczek, nadzianych jabłkami mógłby sobie za nie kupić.»

Nie takie myśli wzbudziłby widok pomnika w główce dzieciny: żołnierza, urzędnika, rzemieślnika, lub rolnika. Tylko synek kupiecki, przywykły z dziada i pradziada do zamieniania wszystkiego na «wartości brzęczące,» umiał bezwiednie tam... obliczać, gdzie powinien się był zadumać, lub zapalić.

Ten wrodzony materyalizm kupiecki odzywa się ciągle w pracach literackich Heine'go, idąc równolegle obok rzekomych zachwytów romantycznych i skarg pesymistycznych. On to nie pozwolił mu przeniknąć właściwej istoty helenizmu.

I «spryt» odziedziczył Heine po swych przodkach. Adolf Strodtmann, biograf jego, opowiada następne zdarzenie (tom I. str. 20). Pewnego razu powstał w Düsseldorfie pożar. Mały Henryk pobiegł razem z innymi kolegami do ognia, lecz gdy go strażnicy chcieli obarczyć jakąś robotą, wtedy wymówił się świętością sabatu. Mimo to umiał jednak ośmioletni chłopczyk ominąć przepisy religijne, gdy szło o zadowolenie jego własnych zachcianek. Wkrótce bowiem potem bawił się znów w sobotę z towarzyszami przed jakimś domem, oplecionym szczepami winnemi. Kilka dojrzalszych winogron zwieszało się aż do ziemi. Chłopcy mieli wielką ochotę na owoc, lecz ponieważ żydom nie wolno w dzień świąteczny nic z drzewa urwać, przeto odwrócili się w drugą stronę, aby od siebie pokusę oddalić. Jedyny tylko Heine przyskoczył do owoców i zjadł je, odłączywszy je zębami od łodygi. Gdy go za to mali koledzy strofowali, odparł: czego chcecie odemnie? Nie przekroczyłem przecie prawa, bo zakon nie pozwala wprawdzie rwać rękami, lecz nie mówi nic o ustach.

Ośmioletni Heine był rzeczywiście «sprytnym» chłopczykiem.

Życiem swojem i pismami dowiódł także Heine, że posiadał w krwi swojej i kosmopolityzm kupiecki. Choć tworzył w języku germanów, jak nie wielu, nie był właściwie nigdy patryotą niemieckim. Bez żalu pożegnał kraj, w którym się urodził i przywykł nadzwyczaj prędko do francuzów. On-to wprowadził do literatury niemieckiej ową bezwzględną krytykę wad narodowych, która nieuszanowała nic, obryzgiwając śliną, błotem i jadem wszystko, co się «niezadowolonym» nie podobało. Czasem tylko drgnęło w nim serce poety niemieckiego. Artysta germański i żyd kłócą się w nim ciągle. Dziś zwycięża pierwszy, jutro drugi. Ale Francyą kochał zawsze: *Vive la France! quand même* — woła (motto do tomu VIII).

Henryk Heine był kosmopolitą, jak przodkowie jego. Ojczyzną jego był świat; ideałem—humanitaryzm; kochaniem—piękność i roskosz cielesna. Drugi jego brat przeniósł się do Wiednia i stał się gorliwym austryakiem, trzeci osiadł w Petersburgu i przedzierzgnął się w rossjanina.

Rozumie się samo przez się, że się Heine pozbył tych właściwości handlarskich, które tylko praktyka umacnia i utrwala. Nie będąc kupcem, nie pracując jedynie dla zarobku, nie potrzebując okłamywać interesantów, nie był chciwym na grosz, ani nieuczciwym w stosunkach pieniężnych. Z nieudolności swojej w kierunku zarobkowania dowcipkuje sam: «gdyby talary padały kiedykolwiek z nieba — mówi (tom I. str. 27) — toby mnie tylko dziury w głowie powybijały, ale dzieci Izraela zbierałyby srebrną mannę z wielkiem weselem.»

Raz tylko w życiu spekulował i on, przechodząc na łono chrześciaństwa w nadziei, że osiągnie za to jaki urząd lub katedrę uniwersytecką; lecz gdy mu się ten «interes» nie udał, nie wdawał się już więcej w żadne hazardy. Przeciwnie, nietylko nie szanował nigdy «marnego grosza», lecz bywał nawet często dobrym kolegą, dzieląc się swemi szczupłemi dochodami z uboższymi od siebie.

W czasach, w których się młody Heine rozwijał i kształcił (między r. 1800 a 1820) odbywała się właśnie w łonie Izraela wielka rewolucya.

Dwa główne prądy XVIII. w. przyczyniły się do wyrwania «narodu wybranego» z letargu, w który zapadł z początkiem czasów nowszych: dążenie do równości społecznej i zobojętnienie dla wiary. Nie trudno się domyślić, że mrzonki Jana Jakóba Rousseau'a musiały oddziałać potężnie na plemię wydziedziczone. Żyd bogaty, przebywający w większych miastach, chwytał chciwie wieści o równości stanów i narodów, przychodzące z nad Sekwany, a żyd prawowierny przyklaskiwał gorąco materyalizmom i ateizmom encyklopedystów. Kastowość minionych wieków zrobiła go przecież «własnością prywatną» miast i książąt, a pobożność chrześcian nie pobłażała talmudyście, urągającemu zarówno tajemnicom katolicyzmu, jak reformom mnicha wittenbergskiego.

Gwałtowny prąd, zwirowawszy mętne wody owych czasów, sięgnął i do głębin bagna żydowskiego. I w Izraelu odezwało się nareszcie sumienie. Trzeba się odrodzić! zawołano tu i ówdzie, trzeba się dźwignąć do cywilizacji chrześciaństwa, aby uzyskać napowrót stracony szacunek narodów panujących. Tym razem byli żydzi niemieccy początkodawcami nowego zwrotu. Chorągiew buntu przeciw rabinom podniósł Mojżesz Mendelshon, zwany przez swych współwyznawców, Mosze Dessau.

Prawowierny niedawno żyd przekształcił się na wolnomyślnego niemca i stał się w ten sposób protoplastą t. zw. francuzów, anglików, polaków itd. wyznania mojżeszowego. Nauczył się on dobrze języka swych współziomków i zaczął pisać po niemiecku. Berlin i Królewiec stały się ogniskami nowego ruchu. Nad Sprzą pracowali po śmierci Mendelsohna jego uczniowie, a nad Bałtykiem agitował jego przyjaciel, Hartwig Wessely.

Lecz i tu i tam nie było zrazu jasno określonego planu, ani świadomości czasów. Nie wiedziano, jak zabrać się do reformy. Każdy pragnął pozbyć się czemprędzej skóry żydowskiej, zró-

wnać się z współobywatelami, a nie umiał sobie poradzić. A czas naglił, bo już ogłosiła rewolucja francuzka równouprawnienie żydów.

Bardzo dobrze opisuje tę bezplanowość nieznany autor w rozprawie, umieszczonej w *Gegenwart* Brockhaus'a (tom X. od str. 526—603): żydów ogarnęło chorobliwe pragnienie stanowiska towarzyskiego i chęć usunięcia wszelkich różnic, rozgradzających ich od współobywateli chrześciańskich. Ta gorączkowość musiała zaszkodzić ich naturalnemu rozwojowi. Nie uczyli się oni dla nauki, lecz tylko dlatego, aby się za jej pomocą wydostać na wyższe szczeble drabiny społecznej. Każdy chciał *uchodzić* koniecznie za człowieka wykształconego i dlatego rzucał przedewszystkiem zewnętrzne formy judaizmu. Pierwszemu lepszemu zdawało się, że gdy pozbędzie się obyczajów i zwyczajów żydowskich, gardząc niemi *publicznie*, wtedy zrówna się z niemcami. Pozorna nauka, pozorne wykształcenie, a głównie pozorna, afektowana wolnomyślność, czyli właściwie skrajna bezwyznaniowość, przejawiająca się w głośnej pogardzie nietylko rabinizmu, lecz wszelkiej wiary wogole, oto rysy charakterystyczne zamożniejszych izraelitów na początku XIX. wieku.

Z takiego materjału nie można było oczywiście ulepić nowych ludzi, czujących i myślących inaczej od swych przodków. Pierwsi żydzi cywilizowani odłożyli tylko skórę zewnętrzną, nie myśląc wcale o przeistoczeniu wewnętrznem. Odwrotnie! Wady dziadów spotęgowały się w wnukach, gdy zalety ustąpiły. Miejsce dawnego fanatyzmu, stanowiącego mimo szkodliwości dla innowierców, bądź, jak bądź jakiś pierwiastek dodatni charakteru żydowskiego, zajął indeferentyzm, z którego się w dalszym ciągu obrzydliwy wytworzył cynizm.

Nikt nie troszczył się o pogłębianie i rozszerzanie reformy, rozpoczętej przez Mendelsohna, a gdy się znalazł jaki «dziwak», który zrozumiał, że pozory nie wystarczają, wtedy wzruszano ramionami.

Takimi «dziwakami» było kilku młodych ludzi, którzy postanowili prowadzić dalej, z świadomością, dzieło, którego inicyatorem był Mendelsohn. Edward Gans, Leopold Zunz i Mojżesz Moser uwidzieli sobie, że niedość pozornego zerwania z tradycyami przeszłości, bo różnicę między człowiekiem a człowiekiem stanowi jego wartość wewnętrzna. Przeto założyli w roku 1819 w Berlinie stowarzyszenie, mające na celu zasadnicze przeistoczenie żydów (*Verein für Cultur und Wissenschaft der Juden*), spodziewając się pomocy od swych współwyznawców.

Lecz usiłowania młodych zapaleńców rozbiły się o twardą pierś obojętności Izraela niemieckiego. Znakomicie maluje prezes instytucji, Gans, w dorocznem sprawozdaniu czynności związku (w r. 1823) stan umysłowy ówczesnych żydów: «Miłość do religii, rzetelność dawnych stosunków przeminęły, a opróżnionego miejsca nie zapełnił nowy zapał. Skończyło się na owem ujemnem «oświeceniu,» które gardziło tradycjami przeszłości, bo nikt nie postarał się o to, aby czczą abstrakcją nową zasilić afirmacyą... Co sobie żydzi przyswoili z cywilizacji europejskiej, nie jest cywilizacyą rzeczywistą; jest to tylko pokost zewnętrzny, tem nieznośniejszy, im mniej w nim treści. Tylko dlatego wywiesili żydzi na swej świątyni szyld «oświecenia,» aby się ludziom zdawało, że mają nową firmę. A przecież stary to, wewnątrz zgniły budynek, odświeżony dla oka na zewnątrz.

Stowarzyszenie upadło po czterech latach istnienia, a jego prezes przeszedł do chrześciaństwa. Ochrzciwszy się w roku 1825, został Gans znakomitym profesorem uniwersytetu. Prawie w tym samym czasie przyjął chrzest i Henryk Heine. Na gromadnem odstępstwie skończyła się pierwsza wewnętrzna reforma Izraela.

Rozumie się samo przez się, że ruch, który się odbywał między żydami cywilizowanymi na początku XIX. w. musiał się wyryć w umyśle Heine'go niezatartemi ślady. I on był przecież żydem, i on pragnął zrównać się z społeczeństwem, do którego miał niebawem przemawiać z wysokiego stanowiska utalentowanego autora. Bezwyznaniowość żydowska zatruła i jego serce do tego stopnia, że szydził nawet z nieszczęść i ciemnoty własnego plemienia. Nazywa on Izraela narodem: który przybył z Egiptu, z ojczyzny krokodylów i kapłaństwa, zkąd przyniósł, oprócz chorób naskórnych i skradzionych naczyń złotych i srebrnych, także tak zwaną religię pozytywną, tak zwany kościół, budowę dogmatów, w które trzeba wierzyć, i świętych ceremonii, które trzeba wykonywać — słowem, pierwowzór późniejszych religij państwowych. O, ten Egipt! — woła -- jego wytwory opierają się potędze czasu, jego piramidy stoją dotąd niewzruszone, jego mumie nie uległy zniszczeniu, a tak samo niewzruszoną, wieczną jest owa mumia narodowa, która błądzi po ziemi skostniałym odłamem dziejów, upiorem, otulonym w odwieczne powłoki martwej litery, a utrzymuje się, handlując wekslami i staremi spodniami. Mruczy ona, owa nieszczęsna mumia, jakieś straszliwe modlitwy, w których skarży się na swe cierpienia. a oskarża ludy nieistniejące już dawno na świecie, żyjące jedynie w baśniach nianiek. Ale żyd nie zmiarkował nawet w swej boleści, że siedzi na grobach tych, o których upadek błaga Jehowę».

Takie słowa są echem skarg, wygłaszanych przez zawiedzionych reformatorów Izraela, przez: Gansa, Zunza i Mosera. Wszystkich tych «dziwaków» znał Heine osobiście w Berlinie, i przyjaźnił się z nimi właśnie w czasie ich głównej działalności. Są one echem, a zarazem przekrzywieniem, bo i Gans, Zunz i Moser krytykowali z goryczą obojętność swego narodu, lecz żaden z nich... nie urągał mu.

Do «ironji romantycznej» przyłączył Henryk Heine cięłość słowa rabinów i bezwyznaniowość żydów cywilizowanych. Z mięszaniny tej powstał oryginalny, wyłącznie heinowski dowcip, który nie zna ani poprzedników, ani hasłodawców. I romantycy bluźnili, lecz były to skargi rozżalonych, w nadziejach swych zawiedzonych serc, które pragnęły wiary pozytywnej, a nie umiały jej odczuć, i romantycy wyśmiewali, lecz na dnie ich szyderstw drgała cicha łza rozbitków, wypędzonych z raju dodatnich ideałów. Z skarg romantyków wieje na nas smutek, przemawia rozpacz, pesymizm, gorzki, cierpki, lecz szlachetny. «Boże sprawiedliwości, przemów wyraźniej do człowicka, aby wiedział, co mu czynić wypada — błaga Henryk von Kleist (*Fam. Schroff.* ak V. sc. I) — «potężny wicher uchwycił mnie, tłocząc rozdartą mą istność do głębokiej mogiły»—woła ten sam poeta (tamże, akt V. sc. I.), a Grabbe załamuje ręce i mówi: Z niczego stwarza Bóg, my budujemy z ruin. Chcąc wiedzieć, czem jesteśmy i co możemy, musimy nasamprzód siebie samych na kawały potrzaskać. Straszliwe przeznaczenie! Niechże jednak będzie! Los padł na mnie, więc muszę pójść za wskazówką mej gwiazdy. Niemcy, ojczyzno moja, nie dozwolono mi nawet walczyć i zginąć za ciebie.» (*Don Juan i Faust*, akt I. sc. 8).

W ten sposób nie przemawia Heine nigdy, choć wie bardzo dobrze, że żyje w epoce przejściowej, że jest sam swego czasu dzieckiem. «Co wczoraj podziwialiśmy — mówi — nienawidzimy dziś, a jutro wyśmiejemy prawdopodobnie zachwyty dzisiejsze» (tom I. str. 132, *Norderney*). Albo «bo my, którzy jesteśmy po części chorymi, tkwimy zanadto w naszych rozdartych, romantycznych uczuciach, przejętych z różnych krajów i epok» (tamże).

Mimo tej świadomości, nie pragnie Heine równowagi serca i umysłu, jak Kleist, ani zgonu bohaterskiego na polu bitwy, jak Grabbe. Nie uwielbia on poezyi kościoła katolickiego, choćby *par prédilection d'artiste*, jak Schlegel, tylko wyśmiewa katedry gotyckie, w których «można się latem ochłodzić i o niebieskich ma-

rzyć migdałach.» Szydzi on przez całe życie z humorem skazańca, stojącego przed szubienicą, z Boga, z świata, z ludzi i z siebie. Materyalizm kupiecki i bezwyznaniowość Izraela cywilizowanego wpłynęły niekorzystnie na twórczość Heine'go.

Jeden tylko rys dodatni zawdzięcza literatura niemiecka pochodzeniu żydowskiemu Heine'go. Syn narodu sponiewieranego i pozbawionego przez długi czas nietylko praw politycznych, lecz nawet ogólno-ludzkich, musiał odczuwać daleko więcej niedostatki porządku społecznego, niżeli niemiec, lub potomek każdego innego plemienia. Prędzej też od swoich współziomków germańskich zrozumiał Heine wielką doniosłość przewrotów, jakie się odbyły przy końcu XVIII. i na początku XIX. stulecia. On też, choć wychowany w obojętności romantycznej dla spraw doczesnych, krytykował pierwszy stosunki niemieckie i ociężałość teutońską, nie przebierając w wyrażeniach. On-to «gryzł», choć nie «sercem», jak młoda drużyna, która wykwitła niebawem z ruin romantyzmu.

Temu zmysłowi do spraw tego świata, temu nawoływaniu do buntu przeciw porządkowi, który już przemijał, zawdzięcza Heine swą popularność między Niemcami po r. 1830 i wpływ, jaki wywierał przez pewien czas na dorastające pokolenie. Zmysł ten wyrwał go z objęć fantastyczności romantycznej, gardzącej wszystkiem, co nie było poezyją, niepochwytnem marzeniem, dymem i postawił go na przełomie dwóch epok. Jak bożek o dwóch obliczach, stoi on między romantykami i narodowospołecznymi («Młode Niemcy»), spozierając to po za siebie, to przed siebie, dziś pieściwy, miękki, rozmarzony, jak rycerz «niebieskiego kwiatu,» jutro obosieczny, cięty i realny, jak zwolennik kierunku praktyczniejszego.

III.

Życiorys Henryka Heine'go.

Rodzice Heine'go. — Jego matka. — Wypadki polityczne owego czasu. — Okupacya francuzka. — Napoleon I. — Pobyt w liceum. — W uniwersytetach: Goetingen, Bonn, Berlinie. — Podróże dla zdrowia. — Pobyt: w Anglii, w Monachium, we Włoszech. — Wyjazd do Paryża. — Choroba. — Śmierć.

Henryk Heine urodził się dnia 13 grudnia 1799 roku z rodziny żydowskiej, zajmującej się od niepamiętnych czasów handlem. Ojciec jego Samson, przybył w r. 1798 jako młody kupiec w służbie jakiegoś banku do Düsseldorfu nad Renem, gdzie się z przyszłą swoją żoną zapoznał. Był to człowiek cichy, pospolity, bez wybitnych zdolności w jakimkolwiek kierunku, bo nie dororobił się nawet majątku, jak jego starszy brat, Salomon, który powędrował do Hamburga z kapitałem, wynoszącym szesnaście groszy, a stanął w wieku dojrzałym jako milioner na czele wielkiego «interesu». Rzadko też mówi Henryk o swym ojcu.

Za to wspomina bardzo często i to z wielką miłością swą matkę, Betty van Geldern, pochodzącą z rodziny żydów niderlandzkich, która się około roku 1700 osiedliła w uroczej stolicy księstewka Jülich-Berg. Geldern'owie należeli już do Izraelitów wykształconych, wodzących rej nietylko między swymi współwyznawcami, lecz szanowanych także przez innowierców. Już prapradziad Henryka Heinego po kądzieli, Izaak van Geldern, był człowiekiem bardzo zamożnym, tak samo jego pradziad, Łazarz, a dziadowie Szymon i Gottszalk, przełamali pierwsze lody starodawnych tradycyj żydowskich, porzucając handel. Starszy z nich poświęcił się językoznawstwu i zasłynął później jado niestrudzony podróżnik, badający głównie krainy wschodu, młodszy należał do najzdolniejszych lekarzy düsseldorfskich. I rodzeni wujowie Heinego, bracia jego matki, Józef i Szymon, synowie Gottszalka, słuchali medycyny.

Matka Heine'go pochodziła więc z rodziny, uszlachetnionej już przez dobrobyt i pracę umysłową kilku pokoleń. Ona też wpływała głównie na swe dzieci, kierując ich wychowaniem; jej krwi i przykładowi zawdzięcza prawdopodobnie literatura niemiecka talent Henryka. Późniejszy poeta mówi wyraźnie: jeżli zostanę kiedykolwiek sławnym pisarzem, to część zasługi należy się matce mojej, która nie szczędziła trudów, aby ze mnie zrobić człowieka. Zdaje się, że Henryk wziął po ojcu tylko nazwisko i trochę instynktów kupieckich, a po matce duszę poety, bo pani Betty była przez całe życie gorliwą wielbicielką Goethe'go. Nic zresztą dziwnego, że umysłowość wyższa przemogła niższą.

I przepiękne położenie Düsseldorfu, rozesłanego romantycznie nad brzegami Renu, którego brzegi urozmaicają góry, strojne zamczyskami rycerstwa średniowiecznego i ta cała poezya natury Niemiec południowych, które wydały tylu znakomitych pieśniarzów, podziałała bez wątpienia na szybszy rozwój wyobraźni Henryka. W końcu nie przeszkodziła jego talentowi i ta okoliczność, że żydzi düsseldorfscy uchodzili od dawna za ludzi i kupców wyjątkowo uczciwych, stawianych za przykład Izraelowi innych miast.

Lecz wypadki historyczne owego czasu zwichnęły po części późniejszą twórczość Henryka, jako pisarza *niemieckiego.* Księstewko Jüdlich-Berg uległo już w r. 1795 przemocy wojsk wielkiej rewolucyi francuzkiej. Wyzwolone w roku 1801 na czas niejakiś, wróciło w r. 1805 pod berło sąsiada. Napoleon I. mianował swego szwagra, Joachima Murat'a, regentem wielkiego księstwa Cleve-Berg, a w r. 1808 podarował ten uroczy kraj pięcioletnemu synowi swego brata Ludwika. Napoleonowi Ludwikowi, stryjowi późniejszego Napoleona III., którego też Heine nazywa później (*Gestandnisse)* swym «prawowitym monarchą, gdyż Ludwik Napoleon nie abdykował nigdy». Ma to być dowcip, jak wszystko u wielkiego satyryka, lecz w każdym razie dowcip znaczący. Prawdą bowiem jest, ze Heine'mu było lepiej, milej i wygodniej nad Sekwaną, aniżeli w Niemczech, ojczyźnie jego, której nie szczędzi ciągłych nagan i łajań.

I nie mogło być inaczej. Wrażliwy umysł przyszłego poety musiał się zachwycić wielkością wszechwładnego naówczas imperatora i blaskiem a sławą jego armii, tem więcej, że ten cezar przynosił żydom wolność, równouprawnienie, o którem w Niemczech jeszcze wcale nie myślano. Rewolucya francuzka rozkuła kajdany Izraela, a Napoleon choć nienawidził osobiście «wybranego narodu», choć nim gardził, z czem się wcale nie tail, uległ jednak prądom czasu i nie zniosł w całości rozporządzeń konwentu. Przeto modlił się cały Izrael do niego, wieńczył jego biust w bóżnicach i wołał: «Hosianna, mesyasz nadszedł!» I ojciec Heine'go był wielbicielem cesarza bitew, i smucił się, kiedy wojska francuzkie później Düsseldorf opuściły.

Potrzeba było rzeczywiście wielkiego patryotyzmu, aby nie złorzeczyć niewesołym stosunkom ówczesnych Niemiec, i aby się nie dać oślepić urokowi sławy wojennej Napoleona. Tylko Niemiec z krwi i kości i do tego syn żołnierski, jak Henryk von Kleist, mógł napisać hymn zemsty przeciw najezdzcy, w chwili, kiedy cały narod lizał obłudnie stopy szczęśliwego zdobywcy. A Heine nie pochodzi ani z krwi germańskiej, ani rycerskiej. Zkądże jemu patryotyzm, kiedy nie miał właściwie ojczyzny, kraju przodków swych, od kilkunastu wieków. Tego uczucia nie można się nauczyć: trzeba je wziąć w spadku po ojcu lub matce. Tymczasem pani Betty, choć nie była już żydówką pospolitą, lecz światłą, uduchownioną kobietą, napominała zawsze swych synów, aby «sobie nie obierali stałego miejsca pobytu nigdy w małych miasteczkach, lecz... w wielkich stolicach wielkich państw.» Wiemy już że się synowie pani Heine zatósowali do jej rad praktycznych.

Nadomiar odebrał Henryk Heine w pierwszej swej młodości wykształcenie nawskróś francuzkie. Języka sąsiadów uczył się nietylko u owego tambormajora «wielkiej armii», którego później unieśmiertelnił *(Das Buch le Grand)*, lecz także w szkołach, w Liceum dusseldorfskiem. Dochował też przez całe życie przyjaźni Francuzom, pisał nawet później w Paryżu językiem nadsekwańskim z niezwykłą u Niemców łatwością, i był po wszystkie czasy wielbicielem Napoleona I., o którym mówił i pisał zawsze z czcią wielką.

Z pierwszej młodości Heine'go nie zasługuje nic więcej na zaznaczenie. Tyle tylko można dodać, że się jego talent autorski przejawił bardzo wcześnie. Już jako chłopoczyk napisał bowiem późniejszy mistrz słowa jakąś nowelkę, czy powiastkę, która spłonęła razem z innemi papierami w Hamburgu w czasie pożaru.

Skończywszy liceum düsseldorfskie, poświęcił się zrazu Heine kupiectwu, ulegając woli ojca, W roku 1815 zawiózł Samson swego syna do Frankfurtu i umieścił go tam w kantorze bankiera Rindskopf'a, lecz żywego usposobienia młodzieniec wytrzymał przy biurku tylko dwa tygodnie.

Nie udała się i druga próba w zawodzie handlowym. W r. 1816 czy 1817 (data niepewna), wysłano Henryka do Hamburga, aby się tam pod okiem stryja Salomona, możnego już wówczas finansisty, wykształcił na kupca. Lecz «głupi chłopak», jak poetę bankier nazywał, nie miał talentu na porządnego człowieka. Założył wprawdzie w roku 1818 jakiś sklep, ponieważ jednak pisał wiersze, zamiast pilnować «interesu», zbankrutował już po roku.

Tu, w Hamburgu, rozkochał się w swej siostrze stryjecznej, Amalii Heine, córce Salomona, której dochował pamięci aż do trumny. Amalia wyszła za mąż za innego, ale Henryk marzył o niej przez całe życie. Ona to test ową «Maryą», «Zulejmą», «dumną Klarą», «Eweliną», «Agnieszką», ona jest ową kochanką poety, za którą serce jego tęskni, płacząc i krwawiąc się, a której imię wypisuje wyobraźnia artysty «na ciemnym tle niebios olbrzymią sosną Norwegii, umoczoną w Etnie»; jej to pamięć stargała całą jego istność i natchnęła go do owych prześlicznych, pieściwych, to roskosznych, to goryczą zaprawionych wylewów lirycznych, które wystygły i skrystalizowały się w «Księdze pieśni.»

Es ist eine alte Geschichte,
Doch bleibt sie immer neu,
Und wem sie just passieret,
Dem bricht das Herz dabei.

Jeszcze na łożu niewymownej boleści, wspominał Heine Amalią, a Gérardowi de Nerval, swemu przyjacielowi paryzkiemu, oświadczył, że: «po zawodzie pierwszej młodości, uprawiał później miłość... tylko jako rzemiosło.» Odpokutował za to niestety bardzo ciężko...

Po bankructwie w Hamburgu zrozumiał nareszcie i stryj Salomon, że «głupi chłopak» nie będzie nigdy porządnym kupcem.

«Dam ci pieniędzy i jedź do uniwersytetu, lecz ucz się zawodu praktycznego. Będziesz słuchał prawa i zostaniesz adwokatem!» Temi słowy zakończył Salomon Heine karyerę kupiecką swego synowca. «Głupi chłopak» stał się później słynnym pisarzem, lecz bankier nie zmienił nigdy swego zdania o nim. Gdy mu ktoś mówił o Henryku, jako o znakomitym autorze, wzdrygnął finansista ramionami i odparł: «gdyby się ten głupi chłopak był czego porządnego nauczył, nie potrzebowałby pisać książek.»

Uzyskawszy zapewnienie pomocy pieniężnej od bogatego stryja, udał się Henryk w roku 1819 do Bonn, gdzie po zdaniu wstępnych egzaminów, zapisał się na wydział prawniczy. Już w pierwszej pracy popisowej przejawił się jego talent do satyry. Profesor kazał mu napisać rozprawę na temat: «O znaczeniu nauk akademickich», a młody student unosił się z komiczną powagą nad doniosłością sal uniwersyteckich i ław.

Skłonność do przedrzeźniania i wyśmiewania wzniosłych uczuć, okazał przyszły cynik także kilka tygodni przedtem.

Ówczesna młodzież niemiecka, zostająca pod wrażeniem «wojen o niepodległość», zakończonych upadkiem Napolegona, odznaczała się wielkim patryotyzmem. Dnia 18 października r. 1819 obchodzili studenci bonnońscy rocznicę zwycięztwa pod Lipskiem. I Henryk Heine wyruszył z innymi kolegami z pochodnią w dłoni za miasto, na górę Drachenfels, gdzie się owa uroczystość odbyła; i on deklamował o miłości do «wyzwolonej Germanii, o ideach, o szczęściu przyszłydh pokoleń.» Pamięć tego wypadku uwiecznił w sonecie (*die Natur auf dem Drachenfels*), w ktorym się przy końcu skarży, że: «wrócił z owego obchodu do domu z kaszlem i katarem.» *(doch leider bracht in den Schnupfen und den Husten mit nach Hause)*. Biograf Heine'go, Adolf Strodtmann, przytacza ten sonet (tom I., str. 61) na dowód, że autor «Obrazów z podróży» był «humorystą» od najrychlejszej młodości. Jednakże chyba nie humorem trzeba nazwać tego rodzaju rozmyslne obniżanie wartości szlachetnych zachwytów.

Ciąg dalszy nastąpi.

WYPIJĘ, — BĘDĘ DRWIĆ!

(„On s'en fiche").

Coraz gorzej na świecie, niestety!..
Wszystko w naszej biédzie
Nawspak idzie:
Coraz mniej przykładne są kobiety...
Coraz więcej nędzy
Bez pieniędzy!..
Słowem — w życiu wszystko tak zawodzi,
Że człek musi z biedy
Trochę pić!..
A i więcej czasem nie zaszkodzi:
Człowiek może wtedy
Z świata drwić!..
Smiało drwić!..
Dalibóg! — wypiję — będę drwić!..

Wczoraj jakoś zapomniałem z lichem
Że i ja mam długi,
Tak jak drugi...
Wracam sobie spocząć w kącie cichym...
Patrzę — aż dłużnicy,
Komornicy
Licytują moje stołki, stoły!..
Więc — człek musi z biedy
Trochę pić:
Zapomina wtedy, że jest goły...
Może sobie wtedy
Z długów drwić!..
Smiało drwić!..
Dalibóg! — wypiję, — będę drwić!..

Ach! I w chacie niema człek słodyczy:
Wcześnie wracam z miasta —
Cóż? Dwunasta!..
Ledwo wejść, — już żona łaje, krzyczy,
Mówi: to „włóczęga,
„Niedołęga!..
„Choćby raz do domu wrócił wcześnie!.."
Toż człek musi z biedy
Trochę pić!..
Wtenczas nie tak jakoś jest boleśnie:
Można sobie wtedy
Z żony drwić...

Smiało drwić!..
Dalibóg! — wypiję — będę drwić!..

Kiedyś — parę dukatów z szufladki
Wyciągnąłem z cicha...
(Nie budź licha)...
Dałżem sobie!.. „Wynosisz ostatki!..
„Tracisz pieniądze marnie
„Na winiarnię!..
„A ja, biedna, tyle znoszę, nędzy!.."
Toż ja muszę z biedy
Trochę pić!..
Winiarz dobry: da mi bez pieniędzy!..
Mogę sobie wtedy
Z groszy drwić...
Smiało drwić!..
Dalibóg!.. — wypiję, — będę drwić!..

Kłamie żona, że tak nędzę znosi:
Dobrze wszak wygląda...
Czegóż żąda?..
Drogie suknie, bransolety nosi..
Zkąd to wszystko bierze, —
Powiem szczerze,
Że odgadnąć dosyć mi jest trudno...
Co mi tam!.. Ot z biedy
Trzeba pić,
Bo bez tego — tak na sercu nudno...
Z żony strojów wtedy
Będę drwić!..
Smiało drwić!..
Dalibóg!.. wypiję, — będę drwić!..

Żona mówi, że samotnie siedzi...
Gniewa się, zżyma,
Gdy mnie niema...
A tymczasem — szepcą mi sąsiedzi,
Że tam hukiem gości
U Jejmości,
Skoro tylko z domu się wychylę!..
Baw się!! A ja z biedy
Będę pić...
Nie przeszkodzę gościom ni na chwilę!..
Wolę sobie wtedy
Z gości drwić!..
Smiało drwić!..
Dalibóg!.. — wypiję — będę drwić!..

Jest tam w chacie dwóch pędraków jeszcze,
Za nich łaźnię znoszę!..
Ależ proszę —
Czyż ja w mojej głowie wszystko zmieszczę?..
Zresztą — kto tam ojciec?..
Trudno dociec...
Niechaj tedy ma opiekę matka!..
Et, ja sobie z biedy
Będę pić,
Bo obmierznie życie do ostatka!..
Mogę sobie wtedy
Z dzieci drwić!..
Smiało drwić!!..
Dalibóg! — wypiję, — będę drwić!..

Taki teraz gorszy świat, niestety!..
Wszystko nam ku biedzie
Ciągle idzie:
Gryzą człeka długi... i kobiety...
Większy brak pieniędzy...
Więcej nędzy...
Słowem... w życiu wszystko tak zawodzi,
Że człek musi z biedy...
Trochę pić...
A i więcej wypić... to się godzi...
Człowiek... może... wtedy...
Z wszystkich drwić!..
Smiało drwić!..
Dalibóg!.. wypiłem... będę... drrrwić!!..

Z Beranger'a, **L. Kozłowski.**

PLEMIĘ KAINA.

OPOWIADANIE P. CARIT ETLAR.

W wigilję Bożego Narodzenia wieczorem ostry mróz dojmował do kości. Mimo to jednak z tamtej strony karczmy Borissa własciciel ośnieżonej chaty krzątał się jeszcze w podwórzu, a chłopię małe trzymało mu latarnię; chociaż księżyc już zeszedł.

Wieśniak ku czci nadchodzącego święta wystroił się starannie. Rzadkie włosy odczesał z czoła i przywdział z grubago sukna długą jasnooliwkowej barwy kapotę, którą mu żona zeszłego lata uszyła. Chłopak miał czerwoną czapkę na głowie.

Zapobiegliwy gospodarz naprzód dwa źdźbła słomy na krzyż złożone, umieścił przed stajnią bydlęcą w śniegu — i przytłoczył kamieniem zeby wiatr ich nie uniosł, poczem to samo uczynił przed drzwiami kurnika.

— Robię to — rzekł do syna — żeby uroki bydła się nie czepiły — zapewne widziałeś jak tam za furtką położyłem małą cebulkę? To nas ma chronić od niepokoju — miarkuj sobie Kubo! W dawnych czasach ludzie byli nieoświeceni, to też wierzyli, że skoro złoczyńca cebulę taką przekroczy — na twarz upadnie; i w książkach coś o tem piszą, ale nie trzeba być zabobonnym.

Gdy uporał się z krzyżami, nasypał w śnieg szuflę jęczmienia dla ptaków i rzucił zardzewiały gwóźdz do studni.

— To strzeże od zatrucia i nieurodzaju — dodał. Jak dorośniesz musisz robić tak samo — ale dziś kontentuj się tylko przypatrywaniem.

— Może byśmy już poszli — rzekł Kuba — tak zimno.

I weszli do izby.

Tu blisko ogniska, gdyż tam było najcieplej, nakryła stół gospodyni. W pośrodku tegoż stała maleńka gipsowa figurka, którą jej kiedyś z miasta przywiozł Marcin na imieniny, a którą bieliła co roku w celu nadania jej nieskazitelnej śnieżności. Figurka przedstawiała dziecię siedzące na kamieniu. Podróżny pytający się raz o drogę, utrzymywał, że to był mały pastuszek; Marcin zaś twierdził, iż gips wyobrażał Jezusa i od tego mniemania nie dał się odwieść. Kto miał słuszność? nigdy nie rozstrzygnięto. Wszelako przeciw twierdzeniu wieśniaka świadczyła ta okoliczność, że dziecię miało na głowie coś na kształt kapelusza. Marcin tam wywiercił dziurę i wetknął w nią okazałe pióro.

— Na cóż to robisz? — pytała żona.

— Ozdabiam Jezusa niezwykłem piórem — odparł mąż.

I figurka pozostała Jezusem.

Przed jedzeniem wieśniak odmówił modlitwę, poczem dziewczyna, która miała najlepszy głos w zebraniu, zaśpiewała pieśń nabożną; a gdy ci skończyli swoje, mały Kubuś wypowiedział piękny wiersz o Narodzeniu Chrystusa.

— Chłopiec je co się zowie — rzekł Marcin — najtęższy zuch nie uczynił by lepiej. Pięknie! — Rozepnij kamizelkę Kubusiu i pchaj co się zmieści, dalej że, dalej, bo od tego się rośnie. Gdy pieczeń postawiono, Marcin nagle umilkł i zamyślił się. Trzeba było gęś zbadać po zeskrobaniu mięsa. Jeźli kości okazały się białe i błyszczące ostrej zimy oczekiwać należało, lecz jeżeli były ciemno-brunatne, zima zapowiadała się łagodna i krótka. Długo trwała obserwacya Marcina. W końcu gęś odsunął,

pojrzał na żonę i ruszając ramionami smutnie wstrząsł głową. Oznaki nie były dobre, ale nic nie wyjawił.

— No, teraz się położę — rzekł chłopiec i westchnął, wstając od stołu — ledwie mogę iść, takem się najadł.

— Połóż się nisko synu! — rzekł Marcin — a weź kilka jabłecznych kołaczy do łóżka — zjesz je w nocy gdybyś spać nie mógł. Nie zapomnij tylko «małemu» jabłczanik położyć w podwórzu—rzekł do wychodzącego chłopca. Panowie pisarze i uczeni oczywiście śmieją się szyderczo, gdy kto wspomni o «Piotrusiu», ale ja wiem na pewno, że on egzystuje. Od jedynastu lat w każdą wigilją Bożego Narodzenia kładą mu duży kołacz jabłeczny, a gdy rano wejdą w podwórze, niema zeń śladu. Raz nawet wyraźnie odkryłem na śniegu odcisk małych nóżek, tam i napowrót idących.

Gdy wybiła dziesiąta, Marcin naciągnął zegar i rzekł:

— Możemy już pójść do łóżka! Okropne zimno! — poczem dodał:—Niechaj Bóg ma w opiece tych, którzy tej nocy są na dworze.

— A któżby włóczył się w noc taką? — spytała żona.

— Biedacy i zbrodniarze — odparł Marcin — zamykając drzwi sztabą żelazną. Wtem zapukano cichutko, a potem nieco głośniej.

— Któż tam?

— Biedak prosi o schronienie na noc — odpowiedział głos błagający.

Wieśniak otworzył.

Wtedy wszedł do izby wysoki mężczyzna w łachmanach, które całkiem śniegiem były pokryte. Nogi okrywała mu niewyprawiona skóra owcza, silnie powiązana sznurkami. Cerę miał ciemniejszą niż inni ludzie, a brodę i włosy kruczej barwy. Na plecach trzymał kosz napełniony szmatami, w ręku zaś kij podróżny. Marcin z żoną czas jakiś uważnie przyglądali się nieznajomemu, podczas gdy ten śnieg otrzepywał i kosz postawił przy ogniu.

— Skądże idziecie? — spytał gospodarz.

— Z południa.

— W taki mróz niedobrze znajdować się na dworze — dodała żona.

— Kto niema domu musi tam przebywać — rzekł obcy.

— A coście wy za jeden?

— Jestem cygan — odparł smutnie.

Gospodyni resztki jedzenia postawiła na stole, wszelako nie w tych miskach, w których jedli niedawno. Cygan nie zważał na to; usiadł bowiem na ziemi i zaczął kosz rozpakowywać. Naprzód wydobył wór z kawałka drelichu, zkąd wyciągnął małego pudla; w innym z takiej samej materji leżało dziecię z dużemi czarnemi oczyma, które po wyjęciu z woreczka podniosło małe rączki do góry i spojrzało ciekawie wokoło.

— Gdybyście mi dali wiadro wody, byłbym wam bardzo wdzięczny — rzekł nieznajomy.

Marcin przyniósł wiadro. Cygan zanurzył dziecię w wodzie i obtarł je starannie. Potem rozczesał mu włosy i nucąc niezrozumiale włożył inną sukienkę. Ta wprawdzie także była tylko z kawałka pasiastego drelichu zrobiona, lecz lepiej zachodziła pod szyję niż poprzednia, dziecię wyglądało wesoło. Podczas przystrajania śmiało się z uszczęśliwieniem, targało gęste czarne włosy, ruszało rączkami i powodziło żywemi, nieco lękliwemi oczyma z mężczyzny do ognia.

Gospodyni stała przy komodzie udając, iż składa chustkę, lecz łzy gorące toczyły się jej po policzkch, gdy ukradkiem spojrzała na małą dziecinę, śmiejącą się szczęśliwie mimo nędzy niezmiernej. Marcin siedział na końcu stołu, — bujał nogami i palił. Żadne z nich nie rzekło słowa.

— Ach! jakiż mały chłopczyk! w końcu zawołała kobieta.

— Wyrośnie kiedyś — odparł mężczyzna. Nazywacie go chłopcem — dodał — a to dziewczyna.

— A czyjaż?

— Moja w połowie — odpowiedział cygan.

— Czy matka umarła?

— Nie — ale nic nie warta. Dziecko nie powinno z nią przestawać. To też wziąłem je od niej.

Mówiąc tak spoglądał na maleńką, a oczy jego, które zwykle były ostre i zimne jak u drapieżnego ptaka, przybrały wyraz słodki i delikatny.

— Usiądźcie przy stole i pożywcie się — rzekł Marcin.

Cygan jadł wyjąwszy łyżkę swoją z kieszeni, gdyż wiedział dobrze, iż gospodarskiej wziąć mu nie wolno. Polewkę i sos dzielił z dziecięciem, kości podawał pudlowi.

— Pocóż włóczycie psa z sobą? — spytał Marcin.

— Musi mi dziecko ogrzewać — odparł cygan.

— Jedzcież więcej jeszcze — rzekł Marcin — uczta taka nie trafi wam się codziennie.

— Już nie mogę — odrzekł nieznajomy — lecz jeżli pozwolicie wezmę łyżkę strawy do chustki dla dziecka na jutro.

Po skończonej wieczerzy wieśniak położył wiązkę słomy na ziemi, rozpostarł na niej derkę końską i w ten sposob urządził posłanie nieznajomemu, poczem światło zgaszono i wszyscu udali się na spoczynek. Przedtem jednak widzieli jeszcze, jak cygan dziecię i pudla, każde w swym worze, owinął starannie derką i przysunął ku sobie, azeby ciepło im było.

Wieśniak w nocy spać nie mógł. Leżał i myślał o małem dziecięciu i nieznajomym mężczyźnie. Księżyc oświecał izbę.

Gdy dziecię się zbudziło widział cygana kołyszącego je na rękach, przyczem nucił mu smętnie i szeptał w nieznanym języku urywane słowa dziwnie żałosnym głosem. Z żoną było tak samo; spać nie mogła i myślała jak mąż, ale żadne z nich nie rzekło o tem drugiemu.

W poranek świąteczny przed świtem wstał nieznajomy. Związał słomę, na której leżał, przyniósł ze studni wiadro wody, ukąpał i uczesał dziecko, jak poprzedniego wieczora. Wieśniak przypatrywał mu się w milczeniu. W jasnem dnia świetle nędza jego silniej się uwydatniła, oblicze nosiło ślady wielu przebytych trosk i cierpień, wszelako oczy błyszczały się i iskrzyły, skoro spojrzał na kogo.

Marcin wyszedł, ażeby bydło opatrzyć i robotę dzienną wykonać; ale nic mu dziś nie szło należycie. Cygan i jego dziecko ustawicznie byli mu na myśli. A więc wrócił niezadługo, wziął biblią i dla uspokojenia umysłu zaczął czytać. Gdy siedział tak i przewracał kartki, wzrok jego padł na miejsce, gdzie napisano:

— «A kto człowieka nawróci z błędnej drogi, ten wybawi duszę od śmierci i pokryje mnogości grzechów.»

Przeczytawszy te słowa zdawało mu się, iż promień światła padł na niego. Zawołał żony swojej.

— A zatem — rzekł — już wiem czego pragnę.

— Ja wiem także — odparła żona. Co ty chcesz i ja chcę tak samo.

— Weźmiemy więc dziecię obce do siebie i wychowamy je w bojaźni i miłości Bożej.

— Myślałam tak samo — rzekła żona — ale nie mogłam wypowiedzieć.

Potem weszli do izby, gdzie cygan zbierał się do odejścia. Dziecko z psem w workach osobnych zapakował do kosza a ten silnie przywiązał sobie na plecach. Teraz stał przy oknie i patrzał w świat.

— Bóg zapłać, bądźcie zdrowi — wyrzekł.

— Dokądże idziecie? — spytał Marcin.

— Na połnoc — rzekł nieznajomy.

— Małą możesz zostawić tutaj — rzekł Marcin.

Cygan obrócił się, spoglądając badawczo na męża i żonę, jak gdyby nie zrozumiał dobrze, co powiedzieli.

— Nie zrobimy jej krzywdy — dodała kobieta.

Wtedy cygan odwiązał kosz i postawił na ziemi. Chwilę niemo patrzał na niego; poczem odwrócił się i poszedł nie wymówiwszy słowa. Niezadługo jednak otworzył drzwi na nowo, wetknąwszy w nie głowę z zaczerwienionemi jak gdyby od płaczu oczyma. Skinął i rzekł:

— Obiecaliście dobrze się z nią obchodzić —nie zapomnijcie o tem. Potem poszedł zostawiając dziecko wieśniakom.

— Bardzom rada, żeś się na to odważył—rzekła później żona. Jest to tak dobrze, jakby się szło do kościoła.

— Tego właściwie nie mogę powiedzieć—odparł Marcin — procesya przecież jest uroczystsza i więcej wzniosła. Zawsze chętnie śpiewałem pieśni nabożne — a najchętniej wtedy, gdy będąc młodym silnym głosem innych przygłuszałem.

Dziecię więc żyło w domu wieśniaka, ochrzczono je imieniem Krystyny. Marcin nauczył ją religii i dobrych obyczai. Wiele miał z niej pociechy. Była pobożna i uważna na wszystko, co jej mówiono. W jej zachowauiu się nic nie przypominało nieszczęśliwego plemienia, z którego pochodziła, prócz ciemniejącej z latami cery i ócz nie takich jak u ludzi. Ale temu już poradzić nie było można.

Co roku po żniwach, gdy wrzosy stanęły w kwiecie, cygan przychodził do zagrody. Nie mówił wiele ale twarde rysy jego chudej i zmarszczkami pooranej twarzy stawały się łagodniejszemi, skoro patrzał na dziewczynę. Zawsze przyniósł jej jakiś gościniec, lalkę lub igielnik kościany, a najczęściej jeźdźca na koniu, gdyż tego sam wykonał. Oboje zwykle wychodzili na wzgórze w pobliżu chaty, skąd daleki rozciągał się widok na bór i puszczę. Tam ręka w rękę, ojciec z córką siedzieli i rozmawiali godzinami.

Raz w jesieni wszedł w podwórze z dużą szklanną skrzynią na plecach, wiodąc białe prosiątko na sznurku, co było widocznym znakiem poprawienia się jego stosunków majątkowych.

Nadto przyniósł kołko czerwonych wstążek i wełnianej materyi na sukienkę dla małej.

W następnym roku nie ukazał się wcale. Krystyna bardzo tęskniła. W czasie, w którym zwykł się pojawiać, wychodziła na wzgórze rozglądając się na wszystkie strony, ale nie przyszedł. Na drugi rok było tak samo.

Nikt nie wiedział, co się z nim stało, bo nikt go nie znał.

Krystyna ukrywała w sercu ciężkie zmartwienie nie mówiąc o tem ani słowa. W trzy lata później przyszedł znowu. Wyglądał nędzniej niż przedtem i wlókł nogi za sobą. Gdy się spotkali dziewczyna wybuchła płaczem w milczeniu, odwracając głowę:

— Gdzieżeś był tak długo? spytała przyszedłszy na wzgórze.

— W więzieniu — odparł.

— Dlaczegóż cię tam zamknęli?

— Posłuchaj! Jeżeli biedak jaki z naszego plemienia kraść nie chce, musi żebrać. Wtedy pakują go do więzienia razem z tymi co kradli. Później wypuszczają go na wolność, ale już nikt z nim nie chce przestawać, zmuszony jest na nowo kraść lub żebrać i znowu idzie do więzienia.

— Czy tak było z tobą? — spytała.

— Tak — odpowiedział, patrząc przed siebie,

Tego wieczora siedzieli dłużej niż zwykle, ale o czem mówili nikt się nie dowiedział. Gdy się rozłączali dziewczyna zarzuciła mu ramiona na szyję i twarz oparła na piersi. Cygan zrobił jej nad głową znak półksiężyca, pocałował ją i szepnął:

— Oby Bóg wszechmocny zachował cię od losu tych, z których pochodzisz.

Poczem stał długo jeszcze, spoglądając za córką dążącą do zagrody.

Od tego wieczora upłynęło lat wiele, o których niema co opowiadać.

Podczas pobytu Krystyny w chacie Marcina, położenie tego znacznie się poprawiło. Błogosławieństwo Boże weszło z nią do domu. Kuba wyrósł na dużego i silnego młodzieńca, ale oczywiście nie było to jego zasługą.

— To z dobrego jadła pochodzi — mawiał Marcin.

Dzieci rosnąc razem i chodząc do jednej szkoły uważali się jak gdyby rodzeństwo, kochali się serdecznie.

— Będzie z nich kiedyś dobrana para — rzekła jednego wieczora ciotka Kuby.

— Ciężko — odpowiedział Marcin — Kuba pochodzi z znakomitej rodziny. Mój dziadek był forysiem jego królewskiej mości, a mój ojciec — ten omal że nie został raz nawet członkiem rady gminnej. Krystyna zaś należy do plemienia Kainowego. Ale byłoby grzechem mówić jej o tem.

Gdy Krystyna podrosła o tyle, iż mogła chodzić na kazania, żadne już z dzieci jej nie dorównało. Pilnie śpiewała hymny kościelne i czytała biblią, a słów pastora słuchała z rzadką uwagą i pobożnością.

Rzadko brała udział w zabawie innych dzieci. Kiedy te biegały po polu przypatrywała im się w milczeniu, siedząc na płocie.

A domownicy w zagrodzie zauważyli, iż nigdy prawie się nie śmiała.

W przededniu konfirmacyi przyszedł pastor zapytać Marcina, czy ma Krystynę uważać jako jego służącą, czy też jak córkę.

— Jeżeli jest waszą sługą — mówił — to musi podczas uroczystości stać w najniższym szeregu, ale jeźli ma uchodzić za córkę waszą, wtedy umieszczę ją na górze, na co swemi obyczajami i nauką uczciwie zasługuje.

Marcin namyślał się przez chwilę, poczem rzekł:

— Oto macie marki na ofiarę, a tu pokwitowanie z pół beczki żyta, któreście zeszłej jesieni u mnie pożyczyli, a które później zapomieliście oddać. Także za nowy bat winniście mi cośkolwiek; przecie i za ten—kwita. Teraz sami rozważcie jakie miejsce w kościele jej się należy.

Pastor odszedł.

Tego samego wieczora mówił Kuba do Krystyny, gdy wracali do domu.

— Po konfirmacyi zostaniesz moją narzeczoną, a później małżonką przed Bogiem i ludźmi! Cóż powiesz na to?

— Nigdy to nie nastąpi! — odparła wstrząsając głową.

— Czyż nie masz do mnie serca? — zapytał.

— Oh! Kubo! odpowiedziała, a oczy błyszczały jej, by rozżarzone węgle. Kocham cię nad wszystko w świecie; wszelako przepaść nas dzieli. Ty jesteś synem bogatych ludzi, ja ubogą dziewczyną, którą z łaski i miłości chrześciańskiej wzięliście do siebie. — Więcej tym razem nie mówili o tem.

Marcin bez względu jak rozstrzygnie się ważna kwestya stosunków Krystyny, będzież ona córką, czy sługą jego na uroczystość bierzmowania gorliwie wóź odnawiał. Sam pomalował koła na niebiesko, dał im piękną czerwoną obwodkę i gwiazdkę na każdej sprysze; a nauczyciela uprosił za pomocą okazałej plaskanki sera, ażeby na każdem siedzeniu dwa tulipany czerwony i żółty zręcznie osadził. Na tym wozie pojechali do kościoła.

Gdy zakrystyan w szerokim przedsionku kościoła dzieci uszykował, Krystyna znalazła się najniżej w szeregu dziewcząt. Myślała, że tak być powinno i stała cichuteńko z spuszczonemi

do ziemi oczyma, trzymając w złożonych dłoniach książkę z pieśniami obwiniętą chusteczką do nosa. Marcin z żoną umieścili się w krzesłach naprzeciw.

Świątynia była przepełnioną, a ołtarz ubrany wrzosem i robionemi kwiatami białej i czerwonej barwy. Przed rozpoczęciem służby bożej jakiś stary mężczyzna wsunął się we drzwi. Miał na sobie skórę owczą, wyglądał ubogo i nędznie i wspierał się na kiju. Pomału i bojaźliwie przebył przestrzeń niedużą i stanął pod słupem, jakby ukryć się chciał przed ludźmi. Kapelusz rzucił na ziemię, głowę spuścił i z złożonemi rękami słuchał nabożeństwa całego, nie zmieniwszy pozycyi. Ci, którzy w około niego się znajdowali, popatrzyll na siebie, szepnęli imię jakieś i cofnęli się wstecz, nie chcąc go się dotykać. On tem się wcale nie troszczył, obcym był w gminie zupełnie.

Gdy pastor przesłuchał Krystynę, przemówił do niej jak do innych, patrząc podczas tego ku krzesłom, gdzie Marcin z żoną siedzieli.

Tłumaczył mianowicie tekst:

— «A kto nawróci człowieka z błędnej drogi, ten wybawi duszę od śmierci i pokryje mnogość grzechow.»

Krystyna głęboko wzruszona, stała z spuszczoną głową; w rękach obracała książkę do nabożeństwa, a łzy płynęły jej po twarzy. Marcin za to podczas mowy pastora rosł coraz więcej, spoglądał po wszystkich i uśmiechał się mile. Wreszcie ceremonia się skończyła.

Po południu była wielka uczta u Marcinów. Ale Krystyna poszła na wzgórze i rozmawiała ze starcem, którego widziano w kościele. Był to jej ojciec.

— Jakże ci się powodzi? — spytała.

— Starzeję się — odpowiedział i ledwie mogę się wyżywić.

— Cóż myślisz począć? — badała.

— Dla zaspokojenia głodu, ukradnę kiedy baranka, za to przez resztę moich dni żywić mnie będą w więzieniu. Poprzedniego razu prosiłem, żeby pozwolono mi tam zostać, lecz to nie dało się zrobić jak mówiono; wtenczas aż cóś zbroję zamkną mnie znowu. Ale nie mówmy już o mnie. Jakże tobie tu idzie?

— Dobrze! — rzekła Krystyna. Dziś byłam tak wesoła, tak szczęśliwa, że aż musiałam płakać. Pastor miał do mnie mowę, a wiesz o czem prawił? «Kto nawróci człowieka z błędnej drogi, ten wybawi duszę od śmierci i pokryje mnogość grzechów.» Wtedy myślałam o tobie ojcze i o twojej przyszłości. Chodź! pojdziemy dalej w głąb puszczy i pomówimy o tem.

Wieczorem goście chcieli wypić zdrowie Krystyny, szukano ją na wzgórzu i lesie przez cały wieczór — nadaremnie. Suknię z bierzmowania Marcinowa znalazła starannie złożoną na stołku, ale codzienny strój zniknął.

Nie znaleziono jej. Nigdy już nie wróciła do zagrody.

W kilka lat później jednego wieczora Marcin powracał z Wardenrskiego jarmarku. Na polach Deibergera zgubił lon, wszedł zatem do małej chaty, ażeby przynieść sobie kołek drewniany.

W izbie było ubogo, ale zachodzące słońce oświecało przez okno starca z śnieżnemi włosami, który siedząc przy stole, nocił cichutko i cynowe guziki układał w rzędy. Przy oknie z drutu mosiężnego młoda dziewczyna robiła haftki.

Marcin wszedłszy załamał ręce z okrzykiem.

— Boże miłosierny! wszakże to Krystyna.

— Tak, to ja — rzekła.

— Z czegoż tu żyjesz?

— Noszę listy z Ringkjöbingu do Deibergu, pielęgnuję chorych i przystrajam umarłych, gdy się sposobność trafi — rzekła prostotą.

— Któż jest — spytał Marcin — ten starzec?

— Mój ojciec —odpowiedziała—zdziecinniał już zupełnie, po całych dniach tak siedzi i gra w żołnierza cynowemi guzikami— możemy wszystko przy nim mówić.

Gdy Krystyna umilkła, starzec skierował wzrok na Marcina, odgarnął włosy z czoła i podnosząc głowę rzekł z uśmiechem.

— To moja córka. Dom, w którym mieszkamy do niej należy, a pozostała zawsze uczciwą dziewczyną.

Powiedziawszy to zanucił i dalej układał cynowe guziki.

— Krystyno! Krystyno — rzekł Marcin — dlaczegożeś nas porzuciła, gdzie ci tak było dobrze i poszłaś tu żeby żyć w ubóstwie i gorzkiej nędzy? Byłbym ci w końcu już dał i Kubę, który za tobą ledwie na śmierć się nie zagryzł.

— Chciałam — odparła Krystyna — duszę od śmierci uratować.

Przy tych słowach zalała się łzami i westchnęła głęboko, jakby żegnała wszystko wesołe i przyjemne na świecie, co utraciła. Jednak szybko otarła oczy i poszła nowy lon pomódz osadzić w koło. Gdy Marcin wsiadł na wóz i chciał jechać, położyła Krystyna rękę na jego ramieniu.

— A cóż Kuba porabia? — spytała.

— Na święty Michał zaślubi bogatą wdowę po młynarzu.

— Pozdrówcie go odemnie — rzekła Krystyna.

— Dziękuję — rzekł Marcin i pojechał.

ZAKATARZONY.

(„L'enruhmé").

„Bardzie! Czemu już tak dawno
„Milczy twoja pieśń?...
„Czyliż twoją werwę sławną
„Już okryła pleśń?.."
— Bracia! wpływ to wczesnej wiosny:
Dzień taki zamglony...
A więc — katar mam nieznośny:
W piersi, w głowie bóle srogie...
Apczhy! Spiewać dziś nie mogę,
Bom zakatarzony!..
Apczhy!.. apczha!.. Ciągle tak!..
Jakże śpiewać? Jak?..

„Przecież mówią, że przy wiośnie,
„Łacniej pieśni snuć:
„Chóry ptasząt brzmią radośnie, —
„Toż i ty nam nuć!.."
— Bracia! Chcecież od słowika,
Gdy w klatkę złowiony,
Pieśni, co do serca wnika
I uczucia budzi błogie?..
Apczhy!.. Spiewać wam nie mogę,
Bom zakatarzony!..
Apczhy!,. Apczha!.. Ciągle tak!..
Jakże śpiewać?.. Jak?..

„Gdy słowiczej pieśni nie chcesz, —
„Z innej nuty graj:
Znajdziesz śmiechu, ile zechcesz —
„Smieszną piosnkę daj!.."
— Bracia! Co wam zda się śmiesznem, —
Wzrok mój, łzą zaćmiony,
Widzi szpetnem, złem, i grzesznem
Albo wzbudzającem trwogę...
Apczhy! Spiewać dziś nie mogę,
Bom zakatarzony...
Apczhy! Apczha!.. Ciągle tak!,.
Jakże śpiewać? Jak?..

„Czyż się godzi — na świat cały
Rzucać czarny cień?..

„Śpiewaj komu hymn pochwały —
„Srogie sądy zmień!..“
— Bracia! Jak Dyogen — marnie,
W dzień, na wszystkie strony
Obracając mą latarnię, —
Zbyt bym długą zdeptał drogę!..
Apczchy! Śpiewać wam nie mogę,
Bom zakatarzony...
Apczchy!.. Apczcha!.. Ciągle tak!..
Jakże śpiewać? Jak?..

„To o pięknej nam kobiecie
„Ładną śpiewkę złóż:
„Na ten temat — myśl się plecie,
„Niby wianek róż!..“
— Bracia!.. Czyliż — w cudze usta
Karmelek włożony,
Zadawalnia wasze gusta
I przynosi smaki błogie?..
Apczchy!.. Śpiewać więc nie mogę,
Bom zakatarzony!..
Apczchy! Apczcha!.. Ciągle tak...
Jakże śpiewać? Jak?..

„Nie chcesz śpiewać w lżejszym tonie,
„Boś w humorze złym, —
„To nam zanuć coś o tronie:
„Śpiew nie będzie czczym!..“
— Bracia! zkądże tak złe chęci,
Abym był zgubiony?..
Niech mię bronią wszyscy święci!..
Już zawcześnie czuję trwogę...
Adieu!.. Śpiewać wam nie mogę,
Bom zakatarzony!..
Apczchy!.. Apczcha!.. Ciągle tak...
Jakże śpiewać? Jak?..

Uniwersytet w Frajburgu Bryzgowskim.

ZE WSPOMNIEŃ LAT UBIEGŁYCH.

Ciąg dalszy.

Gdy jak wyżej mówiłem w średnich wiekach każdy musiał umieć użyć broni, więc niejedno naówczas, choć nie pochwały godne, ale do zrozumienia łatwe, dziś jeszcze praktykowane, nie ma sensu i jest potępienia wartem naduzyciem. Tak nazwać trzeba, że fuchs musi się wyrąbać z innym fuchsem do drugiego towarzystwa należącym, zanim Brandfuchsem zostanie, i że wszyscy członkowie towarzystwa co połrocze z drugim związkiem, bez powodu i bez obrazy zaszłej, pro patria, według ułożonego spisu, (Bestimzettel) muszą się pojedynkować. Zapewne, że przepisane rożne ostrożności boje te nader niebezpiecznymi nie robią, zawsze jednak bez ran czasem i znaczniejszych obejść się one nie mogą. Osobiste zajścia załatwiają zaś krzywemi pałaszami lub pistoletami. Wszystko to reguluje der Paukcomment. Sądy tylko takie osobiste walki uważają za pojedynki, wyżej wspomniane zaś «Paukereien» za Raufexces.

Takiem towarzystwem zarządza senior. On przewodniczy na zebraniach i załatwia stosunki z innemi podobnemi związkami, o czem niżej jeszcze będzie mowa. Consenior prowadzi wszystkie sprawy pieniężne, wybiera składki, robi wydatki itp. Subsenior zaś jest zwierzchnikiem fuchsów, wykłada im wszystkie trzy Comment czyli ustawy, dozoruje w nauce szermierstwa itd.

Tych trzech funkcyonaryuszy wybiera się z pośród starszych członków stowarzyszenia. Bywają prócz tego, stosownie do potrzeby, osobni gospodarze knajpy i sali fechtunku, także nauczyciel śpiewu (Knaipwart, Paukwart, Musiklehrer).

Pozostałością dawnych wieków i ówczesnej organizacji uniwersytetów według narodów jest istniejąca dotąd tak zwana S. C., gdyż tylko tak tajemniczo wspomina się den Senioren Convent, zebranie przewodniczących wszystkich towarzystw. To kolegium czuwa nad zastosowaniem des Allgemeinen Comment, ustawy ogólnej, — ono orzeka o uznaniu nowo powstających towarzystw za commentmaessig, i o przypuszczeniu ich do swej organizacji, ono rozsądza niesnaski między towarzystwami wynikłe, wyrokuje o skargach przez niestudentów przeciw akademikom wnoszonych, co większa, nawet o skargach studentów przeciw filistrom. Uczniowie, ktorzyby się bezzwłocznie wyrokowi ferowanemu nie poddali byliby wykluczeni i wywołani z grona studenckiego. Zaskarżeni nieakademicy oczywiście nie mogą być zmuszeni do uznania tej jurysdykcyi, ale na nich może być czasowa lub stanowcza klątwa (Verruf) rzucona, wzbraniająca uczniom mieć z nimi jakiebądź stosunki. Pojąć więc łatwo, iż właściciel gospody, introligator, czapnik i niejeden przemysłowiec byłby takiem orzeczeniem wszelkiego zarobku, a więc i sposobu do życia pozbawionym, że woli zatem poddać się wyrokowi S. C., tem bardziej, że one zwykle są bardzo sprawiedliwemi.

Ciekawym również zabytkiem średnich wieków jest ów po większej części dotąd w allgemeiner Comment zachowany obowiązek każdego akademika bieżenia niezwłocznie ze zbrojną pomocą kolegom, nie pytając wcale o powod sporu, gdy tylko usłyszy wezwanie «Burschen heraus.» Podobny zwyczaj istnieje u rzemieślniczej czeladzi, a ich hasłem «Handwerksburschen heraus.» Zapewne w owych czasach, gdy normalnym stanem towarzystwa było bellum omnium contra omnes, gdy trzeba było bić drugich, aby od nich nie być bitym, da się podobne postanowienia zrozumieć. W dzisiejszych stosunkach niedopuszczalne, sprowadza na winnych oprócz przepisami kodeksu karnego oznaczonych kar kryminalnych, zarazem relegacyą, tj. stanowcze wykluczenie na zawsze ze wszystkich uniwersytetow niemieckich. Zastąpienie okrzyku Burschenraus przez poźniej wprowadzone «χαττα» nie zmienia rzeczy, jest bowiem tylko zbyt naiwną intencyą obejścia zakazu. Opowiadano mi, cytując miejsce i nazwisko, iż raz podczas obchodu rocznicy założenia Suaevii (Gründungs Commers), Borusy przez czeladników do muru przyparci zawołali «Burschenraus». Wtedy nietylko die Schwaben, ale i ich goście, a między nimi i sędzia uniwersytecki, w żołtej czapce na głowie, jako były członek stowarzyszenia (alter Herr), chwycił za rapir ze ściany, wybiegł na ulicę i by wyzwolić Borusów zaczął rąbać ich przeciwników. Po odniesieniu zwycięztwa, gdy się w głowie rozjaśniło, poszedł do domu, napisał rezygnacyą z urzędu, a co prędzej za Ren się dostawszy, zawerbował się do legii zagranicznej w Algierze.

Niemniej pamiątką ubiegłych wieków jest ów ostateczny środek niezadowolonych akademików mieszczący się w tem, że konwent seniorów nakazuje ogolne wyemigrowanie z miasta, albo przynajmniej zamknięcie uniwersytetu. Ostatnie znane mi tego rodzaju wypadki zdarzyły się w r. 1848 w Badeńskiem. Gdy rząd, opierając się na zapatrywaniu, że nikt dwojakiego obywatelstwa odrazu posiadać nie może, odmówił pełnoletnim, zresztą do wyborów sejmowych uprawnionym badeńskim studentom głosu przy tych elekcyach, przyszło do tego, że cała młodzież uniwersytecka opuściła Heidelberg i udała się do miasteczka Neustadt w Bawaryi Nadreńskiej, zkąd po dwu tygodniach dopiero wróciła uzyskawszy przyznanie owych praw poprzednio im zaprzeczanych. W Freiburgu znowu studenci obrażeni niegrzecznemi słowy sędziego uniwersyteckiego zażądali, by inny na jego miejsce nominowanym został. Gdy im tego senat odmówił, nie uchwalili wprawdzie emigrowania, bo wielu było biednych między nimi, ale ogłosili na tak długo uniwersytet za zamknięty, póki ich żądaniom się zadość nie stanie. Po trzech dniach objął rzeczoną posadę ulubiony profesor i wszystko znów do normalnego stanu wróciło. Być może, że gdyby te zajścia w innnym czasie były nastąpiły, nie byłyby się tak pomyślnie dla studentów zakończyły.

Oto w krótkości historyczna dedukcja i obraz dzisiejszego stanu stowarzyszeń, jakie z dawnych czasów się dotąd przechowały. (Corps, couleurs). Mają one swych obrońców lecz i zaciętych przeciwników. Za niemi przemawia utrzymanie rycerskiego ducha w młodzieży i poczucia honoru [1]). Ujemną ich stroną, wielka strata czasu, zbytnie libacye i pewne jednostronne zdziczenie. Jako regułę ogolną można przyjąć, że Korbursze, po większej

[1]) Dlatego po kasynach i innych towarzystwach uważa się akademików na równi z podporucznikami i porucznikami służby czynnnj.

części synowie wyższych oficerów i urzędników, a także i szlachty, będą po ukończeniu nauk do konserwatywnego należeli obozu.

Obudzenie się ducha narodowego w Niemczech w skutek tyranii Napoleona I., jak na każdem, tak też i na polu życia uniwersyteckiego wielkie wywołało odmiany. Naród począł się soba i żądał, gdy właśnie wtedy ostatni cesarz rzymsko-niemiecki Franciszek II. złożył koronę, jakowejś reorganizacyi, która by mu polityczne istnienie i pewną jedność dawała. Lecz wielkiego on doznał w swych nadziejach zawodu. Utworzono związek niemiecki z ciałem obradującem z reprezentantów 34 ministerstw różnych państw złożonem (Deutscher Bund, deutscher Bundestag), ale o cesarzu, władzy centralnej, o jakimbądź parlamencie i mowy nie było. Wtedy to na uniwersytetach powstało stowarzyszenie die deutsche Burschenschaft (die deutschen Burschen) wyznające teoretycznie potrzebę połączenia Niemiec w ten sposób, by do rady związkowej dodać drugą izbę, z reprezentantów całego ludu niemieckiego złożoną i by po nad panującymi pojedyńczych krajów, znowu przywrócić niemieckiego cesarza [1]). Dalekie od wszelkich tajemnych lub politycznych zabiegów, towarzystwo uważało za zadanie utrzymywać i rozszerzać swe przekonania szczególniej przez członków, którzy ukończywszy nauki zajmą miejsca w życiu praktycznem. Jako studenckie grono, odrzuciło dawne Trink-Pauk i allgemeinen Comment, — nieuznawało juryzdykcyi S. C., zredukowało pojedynek do rozmiarów w całym świecie istniejących, zniosło fuchsów, zaprowadzając na to miejsce przyjęcie prowizoryczne, a po kilku tygodniach i stanowcze nowo zgłaszających się członków. Za herb wzięli niemieckiego dwugłowego orła czarnego o czerwonych nogach i dziobie w złotem polu i ztąd ich kolory czarny, czerwony i złoty, które potem za narodowe niemieckie uważano, a nawet i dotąd wielu uważa [2]). Nie można więc Burszenszaftowi odmawiać ani konserwatorsko-liberalnego, jeżeli kto chce reformatorskiego charakteru, ani też zbawiennego wpływu jaki wywarł na uszlachetnienie i umoralnienie uniwersyteckiej młodzieży. Ale często nierozważni i egzaltowowani psują dzieło rozumnych. W Burszenszafcie utworzył się odcień republikański (oczywiście nie mający najmniejszej szansy powodzenia), owi naówczas tak zwani Demagogowie, a ich nierozsądne wykrzykiwania [3]) dokończyły tego co rozpoczęło niewyjaśnione dotąd i istotnie niepojęte morderstwo Kotzebuego przez studenta Karola Ludwika Sand, t. j. skompromitowały w oczach rządów stowarzyszenie. Rozwiązano je też i zakazano w całych Niemczech w r. 1819.

Pozostał jednak w umysłach nowy kierunek przez Burszów wskazany. W skutek tego obok staroświeckich związków studenckich (Corps) poczęto zakładać nowe, albo od całych Niemiec lub uniwersytetów, albo też jakowych moralnych pojęć nazywane (Germania, Teutonia albo Ruprechta, Alberto Ludoviciana lub wreszcie Concordia, Walhalla itp.) bez żadnych kolorów lub często dwóch tylko i herbu uniwersyteckiego używające, a zupełnie urządzenia Burszenszaftu naśladujące, nazywają je też die freien Verbingungen, albo die Burschenschaften. W nich zbiera się liberalny, postępowy pierwiastek, a chociaż nie stronią one do wesołości i zabawy, dbają jednak bardzo o pilność i przyzwoite sprawowanie się swych członków. Tolerowano je po uniwersytetach, lecz nigdzie ich tak nie protegowano jak się to z owemi staroświeckiemi stowarzyszeniami (Corps) działo w Bawaryi.

Oprócz tych dwojakich a nieprzychylnie względem siebie usposobionych związków studenckich istniały w Niemczech jeszcze tak zwane Landsmannschaften, ziomkowstwa tj. stowarzyszenia akademików pewnej tylko narodowości. Szwajcarowie i Polacy jedynie takie tworzyli związki, chociaż czasami i innych krajów młodzież tak się konstytuowała np. w Heidelbergu Saxo-Borussia. Landsmanszafty mogły urządzać się według woli, jako Corps lub Burszenszafty, lub w inny sposób dowolny [4]). *(c. d. n.)*

[1]) Używanie barw czerwonej, niebieskiej i białej przez Słoweńców jako narodowych słowiańskich, nieraz im wzbraniane, jest również pozbawionem legalnej podstawy jak posługiwanie się czarno-czerwono-złotemi kolorami przez Niemców austrjackich, dlaczegóż więc takowe często za bardziej prawne uważanem bywa?

[2]) Myśl to w ogólnych tylko wyrażona zakresach, podobną jest bardzo do owej, jaką przed rozwiązaniem związku niemieckiego, a więc przed pruską wojną w Frankfurcie z najkompetentniejszej strony poruszono.

[3]) np. piosnka: Was die Demagogen sagen, das postt nicht für Jedes Magen itd.

[4]) Na wszystkich uniwersytetach szwajcarskich istnieje rodzaj Burszenszaftu (der Zofinger Bund) nosi on białe czapki o dwóch czerwonych obwódkach...

ECHA.

O jubileuszu Michała Bałuckiego pisać dziś nieco zapóźno. Uprzedziły nas wszystkie pisma codzienne i tygodniowe, a N. Reforma dała tak wyczerpujący obraz obchodu, iż do niego nic dodać nie można. W krotkich więc słowach tylko zaznaczamy, iż ogół serdecznie i uroczyście obchodził 25 tą rocznicę zaślubin jubilata z literaturą — usunęli się tylko ci, których nie było ani jubileuszu Kraszewskiego, ani na uroczystości ludowej Sobieskiego, ani na zjeździe literatów i artystów.

Przeszło sto telegramów i tyleż listów nadeszło ze wszystkich stron kraju i za granicy. Pochodziły one od ludzi i redakcyj wszelkich przekonań, bo w uczczeniu człowieka zasługi może i powinien każdy wziąć udział. Jubileusz Bałuckiego był świętem sztuki polskiej dramatycznej, kto więc tę sztukę kocha, kto pojmuje jej zadanie i stanowisko, ten spieszył z uściśnieniem ręki jubilata lub z przesłaniem mu życzeń.

Jubileusz wypadł ciepło i serdecznie. Pomiędzy jego uczestnikami panowała rzadka harmonja. Nie było pozy, sztywności, i gadulstwa, tych nieodłącznych dodatków do każdego jubileuszu. Pod ciepłem popularności jubilata roztajało zimno, cechujące wszystkie prawie nasze zebrania. Zasługa w tem przedewszystkiem samego jubilata, dalej uczestników jubileuszu i członków komitetu, lecz znaczna część jej przypada Kołu artystyczno-literackiemu, które było inicjatorem i nadało pewien kierunek obchodowi. «Koło» rzeczywiście posiada «szczęśliwą rękę »

* * *

Teatr krakowski przedstawił w zeszłym tygodniu oryginalną komedję wierszem Juljana Adolfa Święcickiego p. t. «O własnej sile». Autor znanym jest naszym czytelnikom z pięknego obrazka dramatycznego: «U wrot szczęścia».

Zanim nasz sprawozdawca poda ocenę tego niepospolitego utworu, winniśmy zaznaczyć, iż publiczność krakowska z zapałem, graniczącym z entuzjazmem, przyjmowała sztukę i autora obecnego na pierwszem przedstawieniu. Uczciwie demokratyczna tendencja, wypowiedziana pięknym językiem, ujętym w wiersz jędrny, potoczysty, piękne charaktery głównych postaci, a nadewszystko wiele ciepła i wiary w ludzi — oto zalety komedji p. Święcickiego. Są w niej usterki budowy — ale nie przekraczajmy granic pobieżnej wzmianki, zostawmy ocenę naszemu sprawozdawcy.....

* * *

Wydawnictwo krakowskie na korzyść powodzian ukazało się przed paru tygodniami w tak pięknej szacie, iż przewyższyło wszelkie nasze dotychczasowe tego rodzaju wydawnictwa. Część artystyczna zwłaszcza jest prawie bez zarzutu. Na pierwszem miejscu kładziemy główkę dziewczynki Horowitza. Rysunki J. Kossaka, Pruszkowskiego, Pochwalskiego, Benedyktowicza, Styki, Piccarda, Ajdukiewicza, Rybkowskiego, Piotrowskiego, również jak winiety Stachiewicza i Stasiaka, mogłyby zdobić najpiękniejsze wydawnictwa illustrowane. Parę rysunków słabszych, a do tych zaliczamy szkic Siemiradzkiego, nikną wobec przeważnej liczby prawdziwie znakomitych dzieł ołówka, kredki i piórka.

Mniej udaną jest część literacka, chociaż i w niej świecą takie brylanciki jak poezje Coppee'go, Asnyka, lub drobiazgi prozą Lama, Sewera... Są i kawałki muzykalne Saint-Saensa, Noskowskiego, Żeleńskiego.

Powodzenie «Wisły» jest zapewnione.

* * *

Pod redakcją i nakładem naszego kronikarza wyszedł «Ananas», kalendarz humorystyczny illustrowany, męzki, damski cywilny i wojskowy, na rok chudopacholski 1885.» Kalendarz ten cieszy się niesłychaną protekcją publiczności, gdyż kilkotysięczny nakład w ciągu jednego tygodnia został w $^3/_4$ rozkupiony.

Nie wypada nam chwalić «Ananasa», ze względu na jego pokrewieństwo z naszym «Przeglądem.» Musimy jednak zaznaczyć, że złożyły się na niego pióra Michała Bałuckiego (dał nową specjalnie dla Ananasa napisaną «drobnostkę sceniczną)», Arthura Bartelsa (dał kilka nowych piosnek), Mieczysława Frenkla. Szymka, Józefa z nad Drwęcy, Kleofasa Iksa i wreszcie samego wydawcy Kazimierza Bartoszewicza. Kilkanaście rysunków ozdabia to wydawnictwo. Ponieważ zaś «Kronika posmiertna r. 1884», napisana przez naszego kronikarza jest jakoby streszczeniem kronik w «Przeglądzie» zamieszczonych, przytaczamy ją przeto w całości, jako poniekąd własność naszego pisma.

KRONIKA POŚMIERTNA.

roku 1884

krótko zebrana i sławetnym Obywatelom miasta Krakowa przypisana.

Muzo sarmacka, która ręką hojną
Rzucałaś perły natchnionemu Jaksie,
Co Rozbickiemu byłaś krową dojną,
A która w końcu rozpuściłaś tak się,
Że niezważając na godność dostojną,
Szłaś rymem w pomoc każdej babskiej płaksie,
Racz przybyć do mnie, siąść na mem kolanie
I w rymy ująć to moje śpiewanie.

* *
*

Nad grobem twoim, ośmdziesiąty czwarty,
Rąk nie załamie niewiasta trwożliwa,
Boś był okrutny i srodze zażarty,
Zgłodniałym rzeszom nawarzyłeś piwa:
Choleręś nasłał; za te lube żarty
Niejeden palcem tobie w bucie kiwa,
Wołając: «Niechaj twe cielsko czerw stoczy,
Zniszczy twe trzewia, wyżre twoje oczy!»

Tyś żyzne niwy wylewem zatopił
I taką ilość pozostawił wody,
Iż każdy dziennik jako bąk się opił
I wciąż zalewa miasta i zagrody.....
Oby Duch święty tęgo je przekropił
I różczką przywiódł do powszechnej zgody,
Byśmy raz spokój mieli pożądany
I jeden dziennik: «Czas reformowany.»

Wtedy! o wtedy! serdeczny nasz Kraków,
Użyłby nieco rozkosznej sielanki,
Radcy szczędzilib' kolegom kułaków,
Jordan na rynku pasłby swe baranki,
Koźmian z Asnykiem błądzilib' wśród krzaków,
A Romanowicz stroiłby multanki,
Aby mazurem nas uraczyć boskim,
Gdy pojdzie w tany Weigel ze Szlachtowskim.

Precz z marzeniami! Rzeczywistość twarda
Staje przed nami w całej swej nagości:
Ulice pachną systemem Tallarda,
Nafta tak kopci, że aż świat zazdrości.
Prezydent grzeczny, Rada zawsze harda,
Czas do Reformy nie czuje miłości,
A co najgorsze, każdy mi to przyzna,
W wszystkich kieszeniach haniebna golizna.

Czyż mam opiewać wiekopomne dzieje,
Walki Tytanów na ratuszu miasta?
Jakie pan Jordan przechodził koleje,
I jako Rada, ta skromna niewiasta,
Darła się za łby? — Dziś się każdy śmieje
I mówi: «Przecież raz tym kłótniom basta!»

Więc i ja nie chcę dawnych sporów wszczynać,
Bo się gotowi rajcy pozarzynać.

Wybory miejskie są pysznym tematem
Dla historyków i dla kronikarzy,
Z łatwością można na tem tle bogatem
Wypisać choćby ze sto kałamarzy,
Lecz to uczynił już p. K. B. — zatem
Pióro się moje na to nie odważy,
Bowiem kto zechce, na morzu czy lądzie,
Ma rzecz gotową: kronikę w «Przeglądzie.»

Lecz oprócz kłótni, sporów i hałasów,
Bywały także i chwile uciechy:
Każdy z radością przypomina czas ów,
Kiedy nam synów swych przysłały Czechy,
A myśmy dawnych zapomniawszy kwasów.
Z sercem do własnej ich przyjęli strzechy,
I tyle dali barszczu i kiełbasy,
Aż się wściekały w Wiedniu derdiedasy.

Nie szczędziliśmy starek i nalewek,
Lało się reńskie, węgrzyn i szampańskie,
Daliśmy wybrać pół tuzina dziewek,
Pięknych i twardych jak perły urjańskie,
I taki wielki był tych uczuć zlewek,
Że pustoszały aż piwnice gdańskie —
Bowiem przez czas ten kilkodniowy, krótki,
Na sto mil w koło już zabrakło wódki.

«Na zdar!» «ma ucta!» brzmiało po Krakowie
I dzisiaj jeszcze, gdy kto podchmielony
Wraca do domu, to w zalanej głowie
«Na zdar!» brzmi głośniej, niż gderania żony.
A gdy ta w końcu rozzłoszczczona powie:
«Idź że do łóżka pijaku strąbiony!»
To pan małżonek kładąc się w łóżeczko
Szepcze: «ma ucta! na zdar! kochaneczko!»

Na zdar! wołamy, komisjo oświaty,
Która nam naftą świecisz a nie gazem,
Na zdar! wołamy, gdy kto bierze baty,
Na zdar! gdy Marys piszczy za przełazem.
Na zdar! gdy ciągną lichwiarza za kraty
Na zdar! nareszcie zawołamy razem,
Gdy zaprowadzą mądre rajców głowy
Nie elektryczność, lecz system łojowy.

Tymczasem naftą chwalmy się po świecie,
Żółtemi słupy, co stoją pochyło,
Życząc wam rajcy, by, kiedy pomrzecie,
Tak wiekuiste wam światło świeciło,
Jako nas biednych tu oświetlać chcecie!
Oby wam w życiu tak się wciąż kopciło,
Jak nafta kopci na rynku, w ulicach,
A przedewszystkiem w starych Sukiennicach.

Dalej nie szczędźmy dzięków należytych,
Komitetowi pomnika dla wieszcza,
Co dla powodów jakichś tajnych, skrytych,
Pomnik przy pompie na rynku umieszcza.
Żebyż umieścił! — Lecz po znakomitych
Sądząc staraniach, serce mi obwieszcza,
Że ujrzym pomnik, lecz po latach wielu
I nie na rynku, lecz tylko w modelu.

W modelu również, przyznacie mi racją,
Będziemy mieli w mieście wodociągi.
W modelu będziem mieć kanalizacją
I brudną wodę chłeptać jako ongi...
Hydrze niezgody stańczyk z tromtadracyą
Głowy nie zetnie, jako ścinał Longi —
nus Podbipięta, mąż dzielniejszej ręki,
Niż naszych mowców głowy i paszczęki.

Do szczęsnych faktów na krakowskiej ziemi
Policzmy także przybytek stańczyków
I liberałów, co siły wspólnemi
Udają bardro wielkich polityków:
Ci sieją cichość środki rozlicznemi,
Tamci nie mogą się obejść bez krzyków,
A cała walka jest prostej natury:
O stanowiska, pensje, synekury.

Żyd grywa rolę dziś ultramontana,
Chociaż nie zrywa z kaźmirskim kahałem;
Komu stańczyki odmówią kubana,
Gotów jest zostać jutro liberałem;
Kto jest lokajem u wielkiego pana,
Już jest stańczykiem i to sercem całem —
A nawet komu żonę zwodzi hrabia,
Ten na stańczyka zaraz się przerabia.

Na temat taki wdzięczny i szeroki
Mógłbym napisać sto tysięcy wierszy,
Lecz muszę zwrócić poetyczne kroki
I mimo chęci mojej przenajszczerszej,
(Cudowny wyraz) skierować wysoki
Pogląd mój na świat..... (brak rymu na *erszy*).....
Pełen dla wszystkich dusznego obroku,
Ku wielkim dziejom minionego roku.

Według najnowszych badań statystycznych,
Wytrąbiliśmy milion litrów piwa,
Mieliśmy balów dwanaście publicznych,
Z których aż jedno małżeństwo wypływa,
W małżeństwach było tysiąc zajść krytycznych,
W skutek nich wielu więzy swoje zrywa,
W dali za domem szukając uciechy,
Gdzie nowość ciągnie wabnemi uśmiechy.

Hrabiów przybyło przeszło dwa tuziny
I sześciu nowych członków Akademji.
Uczony rodził się co trzy godziny,
Tak, że broń Boże! nawet epidemji,
Nie będzie żadnej naglącej przyczyny
Do ogłoszenia nadzwyczajnej premji
Za znalezienie kilku mężów dzielnych,
Którym dać można tytuł nieśmiertelnych.

Odkrył drugiego Adama Tarnowski,
Cholerę zalał deszczem Rostafiński,
Turniurę Ewy zbadał Sokołowski,
Kodeks Popiela wymacał Bobrzyński.
A nawet długo chodziły pogłoski,
Że Smolka wykrył jakiś traktat chiński
W którym Konfucyusz najjaśniej wyłożył,
Że świat ten stańczyk, a nie Pan Bóg stworzył.

Na polu sztuki była fara chuda,
Aż jeden obraz sprzedano z Wystawy,
A na Szczepańskim placu ciasna buda
Była podobną do rozbitej nawy;
Za to w muzyce zdarzyły się cuda:
Koniec «Konrada» przyniósł los łaskawy.
Artyści goli bywali kolejką,
A świętym zostać zapragnął Matejko.

Ile w tym roku przybyło mężatek,
Ilu panienkom zabiło serduszko,
Ile się z dziewic narobiło matek,
Ile się razy skrył amant pod łóżko,
Czy był rogaczy jak zawsze dostatek,
Ile słów słodkich naszeptano w uszko —
Tego już nie wiem — lecz jeźli się dowiem,
To na rok przyszły najchętniej opowiem.

A teraz żegnaj mi mój roku śliczny
Ośmdziesiąt czwarty wodnisto-głodowy,
Goło-mizerno-wściekło-choleryczny,
Głupio-narwano-kopcąco-naftowy!
Roku borb miejskich i walki językcznej
Żegnaj na wieki! adieu! bądź mi zdrowy!
Krzyżyk na drogę dajem ci serdeczny,
Szepcząc nad grobem: «odpoczynek wieczny!»

K. B.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

Pomimo, iż mniej lub więcej dowcipni autorowie kupletów wywołują ze sceny budowę nowego gmachu teatralnego, pożądany wilk nie zjawia się, każąc w dawnym przybytku Melpomeny słuchać co sobota nowości, lub odgrzanej starzyzny. Właśnie rozpoczęliśmy sezon zimowy podobną nowością. Na uczczenie jubileuszu p. Szymańskiego dano nam *„Podróżomanią“* Korzeniowskiego. Sztuka to nie nowa, w obecnych wymaganiach za star , a co ważniejsza nie na czasie, bo po powrocie z podróży wielu amatorów drogich spacerów pokazana. Chętniej byśmy ją widzieli przed odlotem krajowych ptaków, które zaopatrzywszy się w pożyczane u żydów skrzydła, lecą dać je obciąć cudzoziemskiemi nożyczkami. No, ale przedstawienie sztuki Korzeniowskiego dało nam możność ujrzenia p. Frenkla w pełnej charakterystyki roli żyda, p. Wojnowskiej w roli wojującej żony i panny Ruszkowskiej, jako rozkapryszonego chłopca; był to staranny tercet, w którym sam jubilat prawie, że nie mógł wziąć udziału, jego bowiem rola nie nadawała się do popisu.

W ślad za Korzeniowskim, pojawił się p. Świderski, jako autor *„Nowego dziedzica,“* komedji trzyaktowej, która w ekspozycji i temacie ma zakrój na obraz społeczny, a w rozwiązaniu przedstawia się jako farsa, z zamiarem wprawdzie na bardzo poważną stukę, ale chybiającą celu. Bo i czegóż chciał dowieść p. Świderski? Że żydzi nie powinni gospodarować na roli. Że zaś nie dał ani jednego środka przeciwko zaborowi żydowskiemu, przeto sztuka jest li tylko przestrogą dla semitów, by pilnowali łokcia i miarki, a nie wdzierali się na pola, niewłaściwe dla swych zdolności. Dla tej to przestrogi p. Świderski rozsnuwa wielce dramatyczny obraz opuszczenia domu rodzinnego przez zbankrutowanego szlachcica, wprowadza „Nowego dziedzica“, kupca semickiego i każe mu w jednym akcie zajmować się gospodarstwem, w drugim zaś martwić kłopotami wiejskiemi, wreszcie część kupionego majątku darować powracającemu p. Wiatrowskiemu (wygnany dziedzic); oczywiście takie rozwiązanie może być wygodnem dla autora, który nieostrożnie obszedł się z zawiązaniem intrygi ale dla widza jest niewystarczającem, bo nie przekonywa go, aby takiem być mogło rozwiązanie interesów finansowych w życiu. Po za temi usterkami, komedja p. Świderskiego zaleca się dość trafną charakterystyką postaci tytułowej i młodego „dziedzica“; co do pozostałych osób, to te są albo blade (panna Wiatrowska), albo karykaturalne (brat i siostra Pukalscy). Wystawa sztuki przewyższała jej zalety wewnętrzne; artyści pragnęli utworowi oryginalnemu zapewnić powodzenie — grali starannie. Po za p. Wojnowską, która zgrzeszyła tem może, że nie złagodziła zbytniej przesady w postaci p. Pukalskiej z p. Arwinem, który, nie wiem dlaczego, mówił niewyraźniej jak zwykle, inni wykonawcy są pochwały godni, która w znacznej części przypaść powinna p. Frenklowi za odtworzenie postaci tytułowej z całą godnością artysty nie dającemu się uwieść łatwej szarży, a umiejącemu spokojem i powagą wzbudzić komizm. P. Solski wtórował swemu scenicznemu ojczulkowi dobrze. Blade postacie dziewcząt w interpretacyi pań: Sułkowskiej i Kałużyńskiej nabrały wiele życia.

„Nowego dziedzica“ i następną oryginalną sztukę „Optymistów“ przedzieliło kilka tłumaczonych; przedewszystkiem grana już *„Wojna w czasie pokoju“*, Mozera, wznowiona słusznie dla łatwiejszego zrozumienia dalszego jej ciągu p. t. *„W gościnie, czyli Reif-Reiflingen“*. Jeżeli temat pierwszej komedji Mozera doskonale nadawał się do wyzyskania, do stworzenia komicznych sytuacyj, to dalszy ciąg już tę wątpliwość nastręczał, że trudno będzie przez 10 aktów przeprowadzić jedną i tę samą osobistość, nie znużywszy nią widzów. I tak się stało. Jedna z postaci pierwszej części, Reif-Reiflingen, porucznik pruski, awansowany w drugiej na bohatera (tylko scenicznego) nie zdołał widzów przekonać, że powcip niemiecki może przebyć ogniową próbę traktowania publiczności jedną produkcyą przez dwa wieczory z rzędu. Komiczne przypadki p. Reifa, jako gościa w domu dawnego pułkowego kolegi widzów bawią wprawdzie, ale sam p. Reif nuży powtarzaniem swoich odruchów języka. Trudne też miał zadanie p. Arwin, na którym spoczął obowiązek noszenia ciężaru z winy autora na barki mu narzuconego; powiodło się jednak artyście pogodzić żołnierską niemiecką zarozu-

miałość z lekkością światową i tym sposobem podbić wesołość widzów. Postać główna sztuki rozwielmożniona na scenie mało daje pola do popisu innym artystom. Zdołała jednak p. Pysznik wcielić wiele naturalnego wdzięku w rolę Ilki, a p. Sułkowska wiele życia tchnąć w postać wojowniczej r aptekarzowej. P. Ruszkowska była żywą i szczebiotliwą za siebie i p. Zapałowicza. Wielka szkoda, że p. Wojnowska swą powagą nie wpłynęła na . Czaplińską, która, jak na podlotka, była za śmiałą i za krzykliwą.

„Willa Blanmignon" to już produkt francuzki, farsa według znanej recepty napisana; na sześć osób grających, pięć musi być oszukiwanych w tej liczbie koniecznie jedna para małżeńska. Dzieje się tu tak samo. Mąż oszukujący żonę, jedzie do „Willi Blanmignon" zamiast za granicę, kochanek żony oszukującego — tamże za nim podąża, zamiast do Sztokholmu, jak obiecywakł ojcu swemu i przyszłemu teściowi, który nie chcąc uchodzić za skąpca, choć jest nim w istocie, rozgłasza, że wyjechał do Włoch, ucieka zaś do owej „Willi Blanmignon"; oczywiście następuje cały szereg komicznych epizodów, jak pisanie listów z Willi podług Baedekera a datowanych z Włoch i Szwajcaryi, które pomyślnie kończą się w akcie ostatnim, a mogłyby skończyć się znacznie wcześniej, na czem zyskałaby żywość akcyi pod koniec słabnącej. Jak wszystkie wyroby firm francuskich, ma i „Willa" zapach papryki, o tyle znośnej, że ją artyści (z wyjątkiem p. Arwina) umyślnie zacierali i łagodzili, wszyscy bez wyjątku grali swobodnie, z humorem, a co ważniejsza z życiem. Tu oczywiście zasługa w znacznej części przypada reżyseryi. Parę nad wyraz śmiesznych małżonków stanowili p. Wojnowska z p. Frenklem, czego doskonałem *pendant* byli pogniewani kochankowie: p. Sułkowska i p. Arwin. Raz natrafiwszy na lekki ton sztuki, do końca się w nim utrzymali.

Za to inna nowość z francuskiego repertuaru zaczerpnięta raz jeszcze dowiodła, że najlepsza powieść na scenę przerobiona, może być ckliwym dramatem lub nudną komedją. Spółka literacka pp. Erckmana i Chatriana złożyła się na powieść pełną sielankowej poezyi pt. „Przyjaciel Fryc". Na scenie, temat dla nas obcy, którego obrobienie nic, oprócz przewlekłości akcyi nie dawało, nie mógł zapewnić powodzenia; ani pracowita gra pana Frenkla, ani naturalna, pełna wdzięku postać Zuzi (p. Pysznik) i deklamacye rabina (p. Podwyszyński) nie ocaliły „Fryca".

Nie wiele więcej powodzenia miała *„Podróż do Sumatry"* farsa z niemieckiego, pozbawione najważniejszego przymiotu dla lżejszej komedyi nie posiada bowiem humoru prawdziwego, a wszystko co się dzieje na scenie w czasie czterech długich aktów jest tak wymuszone, sztuczne, że mimo woli, poznaje się niemiecką rękę i żałować wypada p. Pysznik, która tyle pracy i talentu poświęciła na rolę Klary. Tem chyba pocieszyć się może, że i pan Frenkiel robił, co się dało, aby utrzymać wesołość, której przecież nie wzbudzą płaskie koncepty niemieckich autorów.

Umyślnie zrobiliśmy przeskok w ocenie *„Optymistów"* p. St. Rzewuskiego, aby swobodniej nad niemi można było się zastanowić. Młody autor, od niedawna stawiający młodzieńcze kroki na scenie poruszył w swym utworze temat poważny i wyzyskał go, w znacznej części, umiejętnie, a względnie do sił młodocianych, szczęśliwie! Przedstawiając działaczy swego dramatu poruszył dwie odrazu kwestye: dziedziczności występków i odmalowania obrazu z życia Polaków w Petersburgu. Czy i o ile koniecznem było takie tło a nie inne do rozwinięcia tezy, nie potrzebującej takiego gruntu, powiemy później, tu przyjrzyjmy się kogo powołał autor do wypowiedzenia swych wierzeń i zasad.—„Optymistów" „wykolejonych." Optymistów reprezentuje człowiek, który z miłości dla kobiety złej i upadłej, żeni się z nią, wiedząc, jakie brudy do domu wprowadza, wykolejonych—gromadka Polaków na grunt petersburgski rzucona, ludzi, którzy niepewni jutra, chwytają się wszelakiej broni, nie przebierając w jej gatunku i nią sobie wywalczają chleb i utrzymanie pozornie świetne. Tych ludzi, autor przez usta jednej z osób sztuki, nazywa *declassés*, co naszym „wykolejeńcom" nieco odpowiada. Optymizm w postaci Rolskiego, zetknąwszy się z reprezentacją „wykolejeńców" Woszczatyńkich i adwokata Mareckiego fatalną ponosi klęskę. Rolski zawodzi się we wszystkich „optymistycznych" marzeniach: żona go opuszcza, po stosunku miłosnym z Mareckim, on sam ślepnie i jedynym chwalcą, ściślej nekrologistą optymizmu zostaje przyjaciel Rolskiego, doktór. Dopóki autor na sznurku prowadził do zguby swego bohatera, póty nie wikłała się intryga, lecz z chwilą, w której dramaturg zamierza ukarać występnych, popada w pewne niekonsekwencje które w znacznej części spadają na żonę (p. Kałużyńska) i Mareckiego (p. Sobiesław) i rozwiązują się przez śmierć samobójczą żony. Marecki zaś opuszczony przez narzeczoną, na wieki skazany zostaje na samotne opłakiwanie win młodości. I optymizm więc zbytecznyi zbytecznielekceważenie obowiązków (żona, Marecki) są zgubioni czynnikami w życiowej wędrówce. Zachodzi tu jednak pytanie, czy Rolski jest optymistą, czy też zaślepieńcem, a z odpowiedzi tej wypływa, czy słusznie, czy niesprawiedliwie cierpi. Za żonę wziął kobietę, która z domu oprócz złego przykładu, nic nie wyniosła, która sprzedała się bogatemu kupcowi, Iłkowskiemu — taką wprowadza do domu i wiedząc o jej życiu, chce poprawy. To już nie optymizm, lecz zaślepienie tem

większe, że wpływy złe nie usunięte są od p. Rolskiej bo mama i braciszek mają dostęp, a to już wystarcza, by wniosły zbrodniczy jad nikczemności. Ta właśnie okoliczność wprowadzenia w tej formie Rolskiego, nasuwa inną, którą połączyć można z zastrzeżeniem na początku uczynionem do pochodzenia osób. Kanwa dramatu, nie potrzebowała tła pet[ersbur]skiego, ale za to wymagała większej konsekwencji w charakterze go. Tak, jak jest, zdaje się być wiernym obrazem, wprost z życia wzię[tym], tym, lecz z życia jednostek blisko znanych autorowi, które nadawały s[ię] do fotograficznego zdjęcia. Znalazłszy je, autor przeniósł je na scenę, k[o]rzystając przytem ze szczęśliwej okazyi, dał im pokład bardziej ogól[ny] z chwilą, w której wypadało pchnąć samemu bohaterów, potknął się. [G]dyby nasze przypuszczenie było błędnem, lub gdyby było prawdziwem, można nie powitać w p. Rzewuskim młodego pisarza, myślącego poważni[e], patrzącego na życie seryo i obdarzonego zdolnościami na dramaturga. Temperament sceniczny wyrobi się z czasem, dziś materyał ten godzien jest z[a]chęty, której mu nie szczędziła dyrekcya, otwierając gościnnie podwoje sceny, ani artyści, starannie grający, ani publiczność, życzliwie usposobiona ani wreszcie krytyka nie szczędząca pochwał i słów zachęty. Dyrekcyi należy się uznanie za wyjątkową staranność wystawy. We wszystkich scenach znać było wprawną i zdolną rękę, która kierowała wykonawcami. Jeżeli pojedyńcze role szwankowały nieco, bo już wina samych artystów. Zreszt[ą] niewiele było braków. P. Kałużyńska nie utrzymawszy jednolitości w gr[ze] nie podniosła roli żony, która potrzebowała pomocnej ręki aktorki. P. ... z pod skóry „optymisty" okazał wiele szlachetnej siły, umiejętnie nad... łącząc realizm w scenie oślepnięcia z miarą estetyczną. P. Sobiesław n... trudniejszą miał rolę, bo naszpilkowaną niekonsekwencyami — szczę... jednak z niej wybrnął a w scenie czytania listu matki okazał wiele uczu... P. Solski z humorem traktował rolę młodego „wykolejeńca." Doskon... jednak tercetem podnoszącym sztukę była gra pań, Sułkowskiej, Woj... skiej i p. Szymańskiego. Ciepło i serdeczność w grze pierwszej, kom... umiarkowany drugiej i wreszcie pełna spokoju dykcya i ruchy pana S. s... rzyły całość, która dowiodła, że chciano sztuce oryginalnej dopomódz. W... im ma do zawdzięczenia autor, jak również i nożycom reżyserskim, k... czuć było na drugiem przedstawieniu sztuki.

Dla ścisłości kronikarskiej wypadłoby jeszcze zanotować kilka wzn... wień. (Wojna w spokoju, Podróż po Warszawie, Trójka hultajska, Dwie si... roty, Wujaszek Alfonsa, Radcy p. radcy, Bibiński, Chata pod lase[m]. Najwięcej powodzenia miała sztuka ostatnia, która mimo niedziel... dramatycznej treści, zaleca się robotą zręczną. W dramacie tym przez... na polski przełożonym a za Gwoździka pono napisanym po za stały... stami, którym przodował p. Werner w roli Keruana i p. Sułkowska w ro... popisywały się młode siły, świeżo angażowane: panna Barszczews... Konopka. Dalsze występy tych artystów, niewprawnych jeszcze, pozwo... osądzić ich zdolności, można jednak wróżyć, że panna B. użyteczny... dla sceny nabytkiem, p. Konopka w lżejszych rolach może być prz... Do trójki debiutantów należy po części też p. Czaplińska, artyst. scen o... która przedewszystkiem posiada do pozbycia wiele przyzwyczajeń prow... nalnych, zwłaszcza w używaniu głosu.

Nemo.

Ruch muzyczny.

Na brak koncertów w tym sezonie melomani krakowscy nie usk... się, lecz za to koncertanci z wszelką słusznością żalić się mogą na... publiczności. W październiku mieliśmy nawet koncerta dzień po dniu, 9-go Poppera, 10go wieczór Towarzystwa muzycznego, dalej 17go Pa... na, 18-go wieczór urządzony przez amatorów na dochód pomnika fu... Kazimierza Wielkiego, 20-go wieczorek dramatyczno-muzyczny na ... pana Deryngа, 24-go zaś koncert p. Józefa Adamowskiego, wioloncz...

Wirtuozi tej miary co Popper (wiolonczelista) i Pachmann (piani... grali przed pustemi krzesłami, nie mówiąc już o koncercie mniej głośn... artysty p. Adamowskiego, lub wieczorku urządzonym na dochód zasłuż... go weterana sztuki dramatycznej p. Derynga. Wyjątek stanowił tu k... p. Paderewskiego i ostatni sióstr Bulewskich.—W koncercie p. Paderew... go wzięła udział p. Helena Modrzejewska i dzięki też jej zapewne ko... był zapełniony. Koncert panien Bulewskich również się udał, ... dziły go echa zagranicznych tryumfów tych artystek.—Z szeregu koncertó... dwóch ostatnich miesięcy na wyszczególnienie zasługują koncerta p. p. D... wida Poppera i Włodzimierza Pachmanna. P. Popper, którego już prz... laty kilku słyszeliśmy nietylko nic nie uronił z mistrzowskiej gry swoje... lecz śpiew jego stał się jeszcze dźwięczniejszym, brawura jeszcze potężnie... szą. Jest on mistrzem pierwszorzędnym na wiolonczeli. W towarzystwie Poppera poznaliśmy zdolnego pianistę p. Stiasnego, posiadającego piękn...

legato i pianissimo, lecz przedewszystkiem dobrego akompaniatora, umiejącego się nagiąć do woli swego towarzysza. Długo pamiętne wrażenie wywarł na słuchaczach koncert p. Włodzimierza Pachmanna, którego mistrzowska gra obok skończoności technicznej, posiada cechę jasności, plastyki, wyrazistości i spokoju. Pod względem techniki śmiało możemy twierdzić, iż Pachmann osięgnął już ten szczyt doskonałości, o jakim inni pianiści tylko marzyć mogą. Mistrzowską niedościgłą biegłość wykazał w trudnej etiudzie tercyowej i sekstowej Szopena. Jego umiejętne traktowanie ręki powinno być zawsze wzorem dla dobrych pianistów; jego *staccato*, oktawy, biegniki ..., tercye i seksty są prawie niedościgłe dla innych artystów. Mistrzowsko wyszła z pod jego ręki: pieśń wieczorna Henselta, Nokturn Szopena (F-dur) i Schumanna „Nachtstück“. Co się tyczy samejże techniki, to Pachmanna porównać można tylko z Rubinsteinem, lecz brak mu tego potężnego ducha i tej siły tytanicznej jaką posiada ten kolos fortepianu, Antoni Rubinstein. Rubinstein huczy jak uragan, Pachmann pieści ucho słodkiemi, anielskiemi tony.

W koncercie swym przedstawił się p. Paderewski o wiele korzystniej jako kompozytor, niż jako pianista, mimo to w obu działach zasługuje na uznanie znawców. Kompozycje jego drobne wyszły pod tytułem „Album do Mai“ są to istne perełki natchnienia, tchnące myślą poetyczną.

O panu Adamowskim nowo zaangażowanym nauczycielu Towarzystwa muzycznego zanotować winniśmy, iż jest on dobrym nabytkiem dla tutejszej szkoły jako dzielny kwartecista i ceniony dziś już solista na wiolonczeli. Młody ten artysta posiada ładny ton i dostateczną technikę a na co również nacisk kładziemy, uczucie i zapał.

Wieczorków krakowskiego Towarzystwa muzycznego było dotychczas ..; chóry, które powinny stanowić tu część główną, w Towarzystwie są słabszą jego stroną. Zaledwie w ostatnim wieczorku usłyszeliśmy dwa ...sze chóry i to słabo wykonane. Program wieczorku drugiego wypełniły ... obce do Towarzystwa nienależące.

Jednym z najsympatyczniejszych wieczorów muzycznych był ostatni koncert panien Bulewskich, dany w piątek dnia 14 listopada w hotelu Saskim. Młodziutkie siostry, a córki i wnuczki zasłużonych krajowi mężów przyjęto w grodzie krakusowym nadzwyczaj serdecznie. Starsza Wanda (pianistka) wykonała z rzeczy solowych: pierwszy ustęp z sonaty D-dur Beethovena (op. 20 Nr. 3), Impromptu op. 51 Szopena i walc Szopena; prócz tego towarzyszyła swej siostrze na fortepianie. Młodsza siostra Jadwiga wykazała ...ostatnie zalety w „Balladzie i polonezie koncertowym“ Vieuxtemps'a, ...cyi“ Gounoda i „Kujawiaku“ Wieniawskiego. Młodsza siostra posiada technikę więcej wyrobioną od starszej. Jej Kantylena, jej tony po..., arpeggia, śliczne flażeolety zasługują na szczególną wzmiankę. W grze ... wykwintność i elegancyą szkoły francuzkiej. W wykonaniu utworów ...lskich, prócz właściwego zacięcia przebija się z tonów smętnych i rzewnych jakaś nieopisana tęsknota. Gra tej uroczej artystki zrobiła jak największe wrażenie. Skrzypce (Amati) posiadają ton łagodny, lecz nie silny, szczególniej tony niskie na strunie g są stosunkowo za słabe. Czystych flażoletów mógłby jej i nie jeden stary skrzypek pozazdrościć. Starsza siostra Wanda bardzo ładnie akompaniuje tak, iż gra ich harmonijnie się zlewa. Publiczność krakowska witała i żegnała młode koncertantki hucznemi długo ...jącemi oklaskami.

Maurycy Sieber.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i na...

— *Aleksander Dumas* wykonał czteroaktowy dramat, który w tych ... odczyta aktorom „Komedji francuzkiej.“ Przedmiotem tegoż jest uwie...nie córki. Główną rolę ma odegrać artystka Bartel.

— *Paweł Heyse* napisał dwa nowe utwory dramatyczne: komedją w 3 ...ach, które w dniu 21 z. m. przyjęte zostały z entuzyazmem w Frankfurcie.

— Komedja *Turgieniewa:* „Miesiąc na wsi“, została świeżo przetłómaczoną na język niemiecki i ma być wystawioną w bieżącym sezonie ...rgu wiedeńskim pod zmienionym tytułem „Natalia“.

— „Meir Ezofowicz,“ powieść uzdolnionej naszej powieściopisarki *Elizy Orzeszkowej*, ukaże się niebawem w przekładzie niemieckim Leonarda ...rixena, a nakładem jednej z firm drezdeńskich, z illustracjami Andriollego.

— *Jan Lam* wydaje własnym nakładem zbiór swoich powieści i powiastek, w 6 tomach.

— Niemałe usługi oddaje literaturze słowiańskiej czasopismo, wychodzące w Lublanie p. t. „Von Pol zu Pol. Internationale Revue für das geistige Leben aller Nationen. Herausgegeben von A. Brehmer, Laibach 1884.“ ... II. tomiku tego czasopisma, który właśnie wyszedł z druku, znajdujemy utwory niektórych pisarzy słowiańskich: z czeskich Turnowskiego, Iw. Czecha, A. Heyduka — z polskich zaś „Próbę tragedji“ *A. Wilczyńskiego.*

— *Jordan Bolesław.* O mniemanem ciemiężeniu ludu wiejskiego przez szlachtę: List do ks Kopycińskiego, posła na sejm krajowy, dra teologii, wielu dzieł użytecznych autora, członka wielu towarzystw ludowych, ekonomicznych i handlu skór. Kraków 1884, str. 53. (Na korzyść weteranów polskich z r. 1831).

— *Junosza Klemens.* Z mazurskiej ziemi, szkice i obrazki. Warszawa 1884, str. 365. Na zgliszczach. Łaciarze. Pułkownik. Spełnione marzenie.

— *Kraszewski I. J.* Infantka (Anna Jagielonka), powieść historyczna, tom I—III. (Powieści hist. XXI.). Kraków 1884.

— *Malinowski Lucyan.* Przyczynki do historyi wyrazów polskich (Odbitka z tomu X. Rozpraw Wydziału filolog. Akademji Umiej.) Kraków 1884, str. 33.

— *Merunowicz Teofil.* Katechizm obywatelski dla Polaków i Rusinów w Galicyi i w Krakowskiem, naisał.... poseł włościański do sejmu krajowego. Lwów 1884, str. 47.

— *Mátyas Karol.*. Z ust ludu. Przyczynek do etnografii krajowej. (Odbitka z Przeglądu literacko-artystycznego). Nakładem księgarni K. Bartoszewicza. Kraków 1884.

— *Niemirowski Adam.* Bibliografia powszechna notaryatu. (Biblioteka umiejętności prawnych). Warszawa, 1884, str. 303. Dziełko znakomite i pod każdym względem polecenia godne.

— *Ouida.* Córka bandyty, powieść, tłómaczona z angielskiego przez H. I. B. Warszawa, 1884.

— *Sienkiewicz H.* Um's liebe Brod, eine Auswanderer Geschichte. (Familien-Bibliothek (V. 20. Einsiedeln, 1884.

— *Wichert Ernest.* Mutter und Tochter, eine littanische Geschichte, Deutsche Rundschau, wydawana w Berlinie, zeszyt z paździerrnika r. 1884. str. 1—40.

— W Nrze 44 Bluszczu znajdujemy początek nowej nowelli *T. T. Jeża* p. t. „Słowaczka.“

— W Norymberdze granym będzie temi czasy dramat p. t. „Wit Stwosz,“ pośmiertne dzieło *Marcina Schleicha.*

— Towarzystwo geograficzne rosyjskie przygotowuje wielką wyprawę naukową do Merwu.

— Setne przedstawienie „Demona“ *Rubinsteina* odbędzie się wkrótce w Petersburgu.

— *Dr. Piotr Stebelski* został mianowany profesorem prawa karnego na uniwersytecie lwowskim.

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— *Jan Strauss*, królem walców zwany, obchodził czterdziestolecie swej muzykalnej pracy. Najpopularniejszy ze wszystkich muzyków otrzymał od Wiednia obywatelstwo honorowe za 500 rozmaitych utworów muzycznych, przyjmowanych zawsze z entuzyazmem. Największem powodzeniem cieszyły się jego operetki: „Indygo“, „Karnawał w Rzymie“, „Zemsta Nietoperza“, „Cagliostros“, „Książe Metuzalem“, „Wesoła wojna“, „Juliusze“ i „Noc w Wenecyi.“

— Portret utalentowanej naszej śpiewaczki p. Reszke, w całej figurze, naturalnej wielkości, pędzla p. *Ajdukiewicza* nadszedł do salonu Krywulta.

— W Berlinie w zbrojowni państwowej, wystawione zostały świeżo na widok publiczny w wielkiej sali I-go piętra ubiory wojska polskiego z doby 1815—1830 roku.

— „Brama florjańska“ ulegnie przekształceniu na wniosek ks. Czartoryskiego. Urządzona zostanie nad nią kaplica z obrazem Matki Boskiej. Tak więc Brama florjańska stanie się odtąd zupełnie podobną do wileńskiej Ostrej Bramy.“

— W Tarnowie powstała myśl wzniesienia pomnika *Józefowi Szujskiemu.*

— Na wystawę Towarzystwa Sztuk Pięknych w Warszawie przybyły między innymi obrazami *J. Kossaka:* „Perszerony“ i *A. Grotgera:* „Bryganci“ (akwarella) i *F. R. Tepy*: „Egipcyanka“ (akwarella).

— Miasto Dubrownik (Raguza) ma wznieść wielkiemu poecie serbskiemu *Gunduliczowi*, jako swemu synowi, pomnik w r. 1888, tj. w 300letnią rocznicę urodzenia jego.

— Do Warszawy ma w tym czasie przybyć w gościnę trupa artystów francuskich pod dyrekcją niejakiego *Acharda.*

— Profesor *Giżycki* założył w Rydze prywatne konserwatoryum muzyczne, gdzie szczególnie gra na fortepianie uwzględnioną będzie.

Zmarli:

— *Józef Rubinstein*, zdolny fortepianista, krewny Ant Rubinsteina odebrał sobie życie w Lucernie z. m. Zmarły liczył lat 37.

— *Henryk Redlich*, znakomity sztycharz polski ur. 1840 r. zmarł d. 10 Listopada w Berlinie.

Do tego Nru dołącza się dwa arkusze „Polskich pań i dziewic.“

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY
pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

— Satyry. Kraków 1883 —·30
— Wiersze różne i wiersze z prozą. Kraków 1883 —·40
— Listy. Kraków 1883 —·10
— Myszeis. Kraków 1883 —·20
— Monachomachja i Antimonachomachja. Kraków 1882 —·20
— Wojna Chocimska. Kraków 1883 —·20
— Pieśni Ossyana. Kraków 1883 —·30
— Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego Kraków 1883 —·50
— Historja. Kraków 1883 —·50
— Pan Podstoli. Kraków 1883. 1·—
— Komedje. Kraków 1883. 1·—
— Dzieła w 5 tomach z portretem. Kraków 1883. 4·—
— toż samo w oprawie 6·—

Kraszewski J. I. Tomko Prawdzic, wierutna bajka. Lwów 1866. cena 50 ct. zniż. na—·25

Lipiński Tymoteusz. Pamiętniki z lat 1825 — 1831, Kraków 1883. 2—

Łoziński Wł. Galiciana. Lwów 1872 cena 1 zł. 50 ct. zniżona na—·80

Mill John Stuart. O rządzie reprezentacyjnym, przełożył na język polski G. Czernicki. Kraków 1866, cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·50

Müller Max. prof. Religja jako przedmiot umiejętności porównawczej, Kraków 1876 cena 1 zl. 20 ct. zniżona na—·60

Dr. Müller Karol. Świat roślinny, dzieło poświęcone miłośnikom przyrody z 400 drzeworytami. Kraków 1857 2 tomy 4 złr. zniż. na 2.50

Niemcy czy Moskale. Kraków 1881. —·25

Nowelle. Zbiór nowelli: Dickensa, Daudeta, Puszkina Copeé'go, Turgeniewa, Kulisza, Elizy Polko, Jokaja i t. d. Kraków 1883. 3 zeszyty. Każdy zeszyt po —·50

Okoński. Niewinni i Antea, dramaty. Kraków 1876. 1 złr. zniżona na—·50

Opaliński. Satyry. Kraków 1883 (w druku). —·80
— toż samo w oprawie 1·20

Pawlikowski. Tajemnica pani Krzuckiej, nowella, Kraków 1876. —.75

Pieśni polskie, zbiór ulubionych pieśni patrjotycznych. Kraków w r. 1883. —·60
— toż samo w eleganckiej oprawie 1·—

Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury 2 tomy, 4 zł. zniżona na 1·60

Przewodnik po Krakowie (najnowszy) z dołączeniem planu miasta, informacyj, adresów. Kraków 1882—·60
— toż samo w oprawie —.60

Rovani. Młodość Juliusza Cezara, opowiadanie z czasów rzymskich. Kraków 1876. (wyczerpane)

Sabowski. Józef Hauke Bosak, szkic biograf. Kraków 1866. —·20

— Intrygant, powieść. Kraków 1876 (na wyczerpaniu). zniżona na—·75

Schmidt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta z 8 rynami rysunku Kossaka i W. Eljasza. Kraków 1862 cena 1 złr. 20 ct. zniż. na—·50

Szujski. Długosz i Kallimach. Lwów 1880. 1·—

Słowacki Juljusz. Hugo, Mnich, Arab, Jan Bielecki, Żmija, W Szwajcarji, Ojciec zadżumionych. Kraków 1882. —.40
— Lambro, Anhelli, Wacław, Duma o Rzewuskim, Grób Agamemnona, drobne wiersze. Kraków w roku 1882. —·40
— Mindowe, Marja Stuart, Pan Tadeusz. Kraków w r. 1882. —·40
— Sen srebrny Salomei, Król Duch. Kraków 1882.—·40
— Balladyna. Kraków 1882. —·40
— Beniowski. Kraków 1882. —·40
— Lilla Weneda, Mazepa. Kraków 1882 —·40
— Kordjan, O potrzebie idei. Kraków 1882. —·40
— Książę niezłomny. Kraków 1882. —·40
— Ksiądz Marek, Poema Piasta Dantyszka o piekle Kraków 1882. —·40
— Dzieła Juljusza Słowackiego, pierwsze tanie wydanie w 5-ciu tomach, zawierające toż samo co wydania lipskie i lwowskie z dodaniem odnalezionego urywku poematu „Pan Tadeusz" Kraków 1882 cena 4·—
— toż samo oprawne w płótno angielskie 6·—

Sprawozdania literackie. Maj-Październik 1882. r. Kraków 1883 —·20

Stanowisko Polaków w sprawie rossyjsko-niemieckiej. Kraków 1882. —·30

Szajnocha. Początek lechicki Polski. Lwów 1858 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50

Szpaderski X. Patrologja, 2 tomy. Kraków 1878 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50

Wierzbicki Dr. Geometrja wykreślna wraz z zastósowaniem do teoryi cieniow i wolnej perspektywy 2 części z 2 atlasami dla użytku wyższych szkół realnych. Kraków 1875 każda część 2 zł. zniżona na 1 złr. 50 ct. dwie części 3·—

Zacharjasiewicz. Marek Poraj, powieść z czasów pierszego rozbioru Rzplitej polskiej. Kraków 1867. cena 2 złr. 40 ct. zniżona na—·80

Załęski St. ks. T. J. Słowo o książce Juljana Bartoszewicza: Szkic dziejów kościoła ruskiego. Lwów 1881. —·15

Ziemiałkowski Florjan, życiorys z portretem. Kraków 1883. 1·—

Zawiliński R. Z Etnografji krajowej. Kraków 1883. —·20

Żółkowski. Momus. Kraków 1883 —·80
— toż samo w oprawie 1·20

PERŁY HUMORU POLSKIEGO

wychodzą zeszytami i obejmują to wszystko, co literatura nasza wydala wybitnego na polu humorystyki. Zacząwszy od Reja a skończywszy na ostatnich humorystach naszych — każdy znajdzie miejsce w **Perłach humoru**. Procz tego uzupełniamy ten zbiór anegdotami, wierszami i innemi humorystycznemi drobiazgami, jakie niedrukowane dotąd znajdują się po rękopismach. Podajemy tylko sam wybór, tylko prawdziwe **perły humoru**, aby treść odpowiadała w zupełności tytułowi. Wchodzą do zbioru i przysłowia i dowcipne aforyzmy, wejdą i utwory ludowe, których świeży, naturalny dowcip niejednokrotnie wiele ma wartości i głębokiej myśli. Słowem **Perły humoru** będą rzeczywistą skarbnicą narodowego dowcipu.

Perły humoru wychodzą nakładem K. Bartoszewicza w 2ch wielkich tomach. Dla ułatwienia w nabywaniu każdy tom podzielony został na 6 zeszytów. Cena każdego zeszytu w wielkiej 8ce obejmującego 3—4 arkuszy druku wynosi **30** ct., z przesyłką pocztową **35** ct. **Składający z góry prenumeratę za całość 12 zeszytów płacą tylko 3 złr.** z przesyłką pocztową zaś **3** zlr. **50** ct.

Siedem zeszytów **Pereł humoru** już się ukazało. Dalsze zeszyty wychodzić będą w odstępach dwu-tygodniowych.

Prenumeratę na **Perły humoru** przyjmuje się tylko do 1 Grudnia 1884.

KATALOG
WAŻNIEJSZYCH PISM POLSKICH

na które prenumeratę przyjmuje księgarnia

K. Bartoszewicza.

Tytuł pisma	Prenumerata w Krakowie						w całem państwie austryackiem z przesyłką					
	kwartalnie		półrocznie		rocznie		kwartalnie		półrocznie		rocznie	
	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	c
Ateneum	—	-	10		20	—	—	—	10	60	21	20
Biblioteka najc. utworów	2	—	4	—	8	—	2	15	4	30	8	60
„ warszawska		–	7	50	15	—	—	—	8	10	16	20
Biesiada literacka	2	—	4	—	8	—	2	30	4	60	9	20
„ „ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	3	-	6	—	12	—
Bluszcz	2	75	5	50	11	—	3	50	7	—	14	—
„ z dod. mód kolor.	4	75	9	50	19	—	5	40	10	80	21	60
Echo muzyczne	2	50	5		10	—	3	15	6	30	12	60
Gazeta lekarska	—	—	4	15	8	30	—	—	4	75	9	50
„ rolnicza	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Gospodyni wiejska	2	50	5		10	—	2	80	5	60	11	20
Kłosy	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ z Bibl. najc utworów	5	30	10	60	21	20	6	30	12	60	25	30
Kolce	2	50	5	–	10	—	2	75	5	50	11	—
Kronika rodzinna	1	65	3	30	6	60	—	—	4	—	8	—
Medycyna		–	4	15	8	50	—	—	4	75	9	50
Mucha	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
Niwa	3	—	6		12	—	3	30	6	60	13	20
Ogrodnik		—	5	—	10	—	—	—	5	70	11	40
Przeglad katolicki	2	10	4	20	8	40	2	40	4	80	9	60
„ lekarski	2		4	—	8	—	2	20	4	40	8	80
„ lwowski	2	60	5	—	10	—	—	—	—	—	-	—
„ polski	4	–	8		16	—	—	—	—	—	—	—
„ techniczny	—		6	65	13	30	—	-	7	—	14	—
Przewodnik bibliograficzny	—	28	—	50	1	—	—	34	—	62	1	24
„ nauk i literacki	1	25	2	50	5	—	—	—	—	—	—	—
Przyjaciel dzieci	1	50	3	—	6	–	1	80	3	60	7	20
Przyroda i przemysł	2	50	5	-	10	—	2	75	5	50	11	—
Tygodnik illustrowany	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ powszechny	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ rolniczy	2	-	4		8	—	2	75	5	50	11	—
„ romansów i powieści	1	40	2	80	5	60	1	60	3	20	6	40
„ „ z Bil. naj. utw.	3	40	6	80	15	60	4	—	8	—	16	—
Wędrowiec	2	—	4	—	8	—	2	25	4	50	9	—
„ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	2	90	5	80	11	60
Wieczory rodzinne	1	65	3	30	6	60	1	90	3	80	7	60

Księgarnia przyjmuje prenumeratę i na wszystkie inne czasopisma polskie i obce, z wyjątkiem pism codziennych.

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. BARTOSZEWICZA

wyszło **pierwsze tanie wydanie**

DZIEŁ JULJUSZA SŁOWACKIEGO

w pięciu tomach z portretem.

Wydanie to zawiera toż samo co wydania lipskie i lwowskie, oraz odnaleziony urywek poematu Juljusza: Pan Tadeusz.

Pod względem poprawności korekty wydanie to przewyższa wszystkie dawniejsze. Papier biały, druk czysty i wyraźny.

Cena 5ciu tomów 4 złr.

W ozdobnej oprawie w płótno angielskie z wyciskami cena 6 złr.

Od d. 1 Lipca 1878 r. wychodzi w Krakowie pod redakcya Dra Władysława Wisłockiego, kustosza biblioteki Jagielońskiej

„PRZEWODNIK BIBLIOGRAFICZNY"

miesięcznik dla wydawców, księgarzy, antykwarzy, jakoteż czytających i kupujących książki. Każdy Numer w objętości $^1/_2$ — $1^1/_2$ arkusza druku w zwykłej 8ce, 49 wierszy (61 petytowych) wysokiej, zawiera trzy działy: 1. Bibliografię właściwą bieżącą; 2. Kronikę; 3. Ogłoszenia czyli inseraty księgarskie, drukarskie i t. p.

WARUNKI PRENUMERATY:

całorocznie	1 zlr.,	z przesyłką	1 zlr.	24 ct.
$^1/_2$ „	50 cnt.,	„	—	62 „
$^1/_4$ „	28 „	„	—	34 „
$^1/_{12}$ „	10 „	„	—	12 „

Opłata od ogłoszeń za każdą $^1/_{10}$ część strony 50 cent., za całą stronnicę czyli 61 wierszy petytowych 5 zlr.

Prenumeratę w gotówce i wyraźnie pisane ogłoszenia przesyłać należy za pośrednictwem księgarń krajowych i zagranicznych najdalej do 20 każdego miesiąca, albo do księgarni **G. Gebethnera i Spółki** w Krakowie, albo wprost do redaktora „Przewodnika bibliograficznego".

Księgarnia K. Bartoszewicza nabywa I-szy i 3-ci Nr. „Przeglądu" z r. 1882 po 30 ct. za egzemplarz.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca **Jan Blaschke**.
W drukarni A. Koziańskiego.